

## Franciszek Mraźek - limanowski malarz



**Był człowiekiem niezwykłym  
- wspomnienia o Andrzeju Dyczku**

**Limanowskie potoki**

**Co pisała lokalna prasa lat 50.  
o budowie kinoteatru w Limanowej**

**Czas zatoczył koło... - dawna  
i nowa historia browarów limanowskich**

**Wspomnienia  
Alicji Łuka z domu Wrona cz. 3**

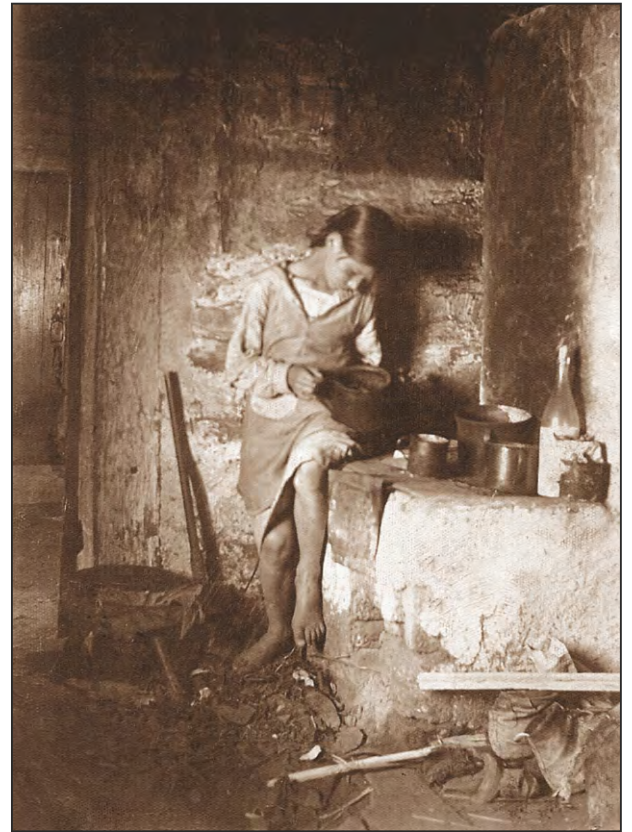
**Nazywano go „ostatnim malarzem  
Młodej Polski” - Maksymilian Brożek**

**Radiofonizacja w Limanowej i powiecie**

**Mistrzowie piekarnictwa w Limanowej  
- Maria i Józef Wojsowie**



Obraz Franciszka Mraźka „Na przepiecku” z Muzeum w Nowym Sączu.



Wnętrze ubogiej chaty - ulubiony motyw w obrazach Franciszka Mraźka - fotografia wykonana na Sarczynie (przysiółek Mordarki) przez artystę w latach międzywojennych.

**W sprawę zwrotu zrabowanego podczas wojny obrazu Franciszka Mraźka zaangażowane było Ministerstwo Kultury, Konsulat Generalny RP w Monachium i Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu. Na uroczystym przekazaniu obrazu obecne były kamery ogólnopolskich telewizji. Tymczasem niemal identyczny obraz tego samego autora - oceniany przez fachowców jako bezcenny - wisi od dziesiątek lat w Limanowej i nie budzi niczyjego zainteresowania.**



Obraz Franciszka Mraźka „Na przepiecku” z prywatnej kolekcji w Limanowej.

# Mrażek zdobi wiele ścian

Pamiętacie słynną zabawę: znajdź dziesięć szczegółów, jakimi różnią się dwa obrazy? Proponujemy zatem: znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się dwa obrazy Franciszka Mrażka. Jeden właśnie został w asyście kamer i fleszy zwrócony 70 lat po wojnie i trafił do sądeckiego muzeum, drugi – niemal identyczny – od dziesięcioleci znajduje się w prywatnej kolekcji w Limanowej. I nikt się nim nie interesuje.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego z wielką pompą przekazało Muzeum Okręgowemu w Nowym Sączu obraz Franciszka Mrażka „Na przypiecku”. Przed II wojną światową obraz wisiał w pałacu w Spale, który był siedzibą prezydenta Mościckiego. W czasie wojny stacjonowały tam wojska Wehrmachtu. W 1945 r. uciekający Niemcy wywieźli zrabowane stamtąd dzieła sztuki. Po latach obraz „Na przypiecku” wraz z albumem ze zdjęciami z wnętrza pałacu odziedziczył wnuk niemieckiego oficera stacjonującego kiedyś w Spale. Wnuk postanowił oddać dzieło Polsce. 14 marca w Konsulacie Generalnym RP w Monachium przekazał je Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Z kolei ministerstwo, biorąc pod uwagę miejsce urodzenia Mrażka, powierzyło obraz, określany jako bezcenny, muzeum w Nowym Sączu. Piękny gest, wzruszająca uroczystość, bezcenny eksponat, ale...

Ale Mrażka – oprócz miejsca urodzenia – niewiele z Nowym Sączem łączyło. A bezcenny obraz nie jest dziełem unikatowym, a tylko jedną z wersji tej samej pracy artysty. Właśnie odnaleźliśmy w Limanowej niemal identyczny obraz, którym nikt się nie interesuje.

## Malarz z Limanowej, ale obraz w Sączu

Franciszek Mrażek wprawdzie urodził się w Nowym Sączu (7 stycznia 1891 r.), ale nigdy tu nie mieszkał. Jego ojciec Juliusz był garbarzem, w Limanowej posiadał duży dom, który stał przy rynku. Franciszek ukończył tam szkołę podstawową, a do rodzinnego miasta wrócił po zesłaniu w głąb Rosji i tu mieszkał do śmierci. Ciekawostką jest, że swoją rodzinę utrzymywał wyłącznie z malowania. Nabywcy z kraju i zagranicy zamawiali u niego portrety i pejzaże.

Kształcił się zresztą w tym zakresie nie byle gdzie. Najpierw w pracowni Aleksandra Mroczkowskiego – ucznia Jana Matejki. Później studiował malarstwo w Wiedniu, gdzie został sprowadzony przez swoją ciotkę Baczyńską. W Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu komisja musiała wysoko ocenić jego prace, bo bez matry przyjęto go na studia. Malarstwa uczył się również w Monachium.

Gdy w czasie I wojny światowej dostał się do niewoli w okolicach Kamieńca Podolskiego, trafił na zesłanie do Rosji. Tam trudnił się malowaniem portretów. Po rewolucji październikowej nie bez przykrych przygód dotarł do rodzinnej Limanowej. Tu ożenił się z Józefą Michalską. Miał z nią czworo dzieci: synów Krzysztofa i Kazimierza oraz córki: Stefanię i Danutę.

Dlaczego zatem obraz malarza, który niezaprzeczalnie związany był z Limanową, trafił do Nowego Sącza?

– *Muzeum w Nowym Sączu jest jedną z największych placówek na terenie Polski południowej. Do tego muzeum rejestrowanym, czyli posiadającym gwarancje ministerialne, dlatego ministerstwo wybrało Nowy Sącz – twierdzi dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu Robert Ślusarek.*

Zawodu nie stara się ukryć dyrektor Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej Magdalena Urbaniec.

– *Artysta był limanowski. Tu mieszkał jego dziadek, ojciec, rodzice matki, tu się ożenił, tu miał dzieci i wnuki. Nikt nas o to nie zapytał, nie poinformował o obrazy, choć to u nas znajduje się kolekcja obrazów Mrażka. Nikt nam nie zaproponował przekazania obrazu. To kolejny przypadek, gdy zabytki z Limanowszczyzny idą do innego muzeum. Na dodatek media obiegrała informacja, że Mrażek to artysta sądecki.*



Franciszek Mrażek w okresie młodości.

## Obraz podarowany Beckowi

Jak obraz „Na przypiecku” znalazł się w Spale? Dziś to historia prawdopodobnie nie do odtworzenia. Można przypuszczać, że ma to związek ze znajomością Mrażka z ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem. Przed laty nieżyjący już syn Franciszka Mrażka, Krzysztof, w rozmowie ze mną wspominał: – *Po powrocie z Rosji ojciec rozpoczął budowę domu na „Kamieńcu”, w okolicach obecnego limanowskiego targowiska. Jednak z powodu braku środków finansowych budowa stanęła. Do szkoły podstawowej ojciec chodził razem z ministrem Beckiem. Napisał więc do niego list z prośbą o pomoc w budowie domu. Rzeczywiście otrzymał wsparcie. Minister Beck przysłał mu list z podpisami ministrów oraz 500 zł. Wówczas była to równowartość pięciu pięknych krów, a więc spora suma.*

Dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu Robert Ślusarek potwierdza taką wersję. ►

► – Możemy przypuszczać, że do pałacu w Spale, przez pewien czas użytkowanego przez Mościckiego, obraz trafił za sprawą przyjaźni Mrażka z Beckiem. Być może Mrażek w dowód podziękowania ofiarował go ministrowi. Ale nie mamy udokumentowanego potwierdzenia tego faktu.

## Dziewczyn na przypiecku jest więcej

Ci, którzy zetknęli się wcześniej z malarstwem Mrażka, ze zdziwieniem spoglądali na przekazywany w blasku fleszy obraz. Jakim sposobem obraz, wcześniej nieznan, bo dopiero cudem odzyskany, już kiedyś widzieli? Okazuje się, że przed dwoma laty na okładce lokalnego pisma „Echo Limanowskie” ukazała się... niemal identyczna „Dziewczyna na przypiecku”.

– Planowałem wydanie albumu malarstwa limanowskich artystów. Stąd zbieranie reprodukcji obrazów artystów wywodzących się z Limanowej. Samych fotograficznych reprodukcji obrazów Mrażka zgromadziłem około 60. Część ukazała się na łamach „Echa Limanowskiego”. Skąd reprodukcje? Udostępniają je mieszkańcy Limanowej, m.in. nieżyjąca już pani Krystyna Bączkowska-Cynke. „Dziewczyna na przypiecku” jest fotografią obrazu, który udostępnił właśnie ktoś z Limanowej. Niestety, pamięć jest ulotna, a fotografii nie opisywałem, więc dziś trudno odtworzyć, do kogo obraz należy – mówi Stanisław Ociepka, redaktor naczelny „Echa Limanowskiego”.

O dziwo, dla dyrektora Roberta Ślusarka ta informacja nie jest zaskoczeniem.

– Mam świadomość, że jest więcej tego typu obrazów. Nie są to trawestacje jeden do jeden, ale bardzo podobny motyw na zapiecku, pokazujący przygotowującą posiłek matkę i dziecko. Wiem, że jest też wersja obrazu, na którym dziecko stoi. Przepuszczalnie istnieją 3-4 wersje tego samego motywu.

Mrażek malował z fotografii. Tak samo było z obrazem „Na przypiecku”. Fotografia, a właściwie całą serię, artysta zrobił w chacie w podlimanowskim Sarczynie. A ponieważ żył z malowania, więc... obraz, który znalazł uznanie, był malowany w kilku wersjach.

## Ze śmiechem śledzi prasowe doniesienia

Gdzie zatem znajduje się bliźniaczy obraz „Na przypiecku”, którego reprodukcja ukazała się na łamach „Echa



Franciszek Mrażek 1891-1970.

Limanowskiego”? Do zamknięcia numeru DTS trwały usilne poszukiwania. Aż wreszcie pojawił się trop... Do właściciela limanowskiego obrazu udało się dotrzeć. Chce pozostać anonimowy. Z wielkim rozbawieniem śledzi prasowe doniesienia o cudem odzyskanym niezwykłym obrazie Mrażka i z nieskrywanym uśmiechem zerka na wiszącą na ścianie swoją wersję „Na przypiecku”.

**Jolanta Bugajska**

*Przedruk z „Dobry Tygodnik Sądecki”  
nr 11 z 23 marca 2017 roku*

**PS**

O Franciszku Mrażku, artyście limanowskim, którego rodzina miała korzenie słowackie w „Echu Limanowskim” ukazującym się bez mała od 25 lat na lokalnym rynku wydawniczym, pisaliśmy kilka razy. Były to artykuły oparte o materiały źródłowe pozyskane od rodziny oraz wywiady z synem Krzysztofem i córką Danutą.

Jednym z pierwszych artykułów zatytułowanym „Uwielbiał malować” był wywiad Jolanty Bugajskiej z dzisiaj już nie żyjącym synem Krzysztofem, („EL” nr 92 z 2002 roku).

Z racji przypadającej w grudniu 2015 roku 45. rocznicy śmierci artysty w „Echu Limanowskim” ukazał się cykl artykułów pod jednym tytułem „Galeria obrazów Franciszka Mrażka”. Pierwszy artykuł odnosił się do malarstwa rodzajowego, pokazaliśmy wówczas 10 barwnych reprodukcji obrazów. Drugi zaś

poświęcony był pejzażom, przedstawiliśmy 8 reprodukcji. W ostatniej trzeciej części cyklu zaprezentowaliśmy portrety znanych osób limanowskich, a także postacie barwne i charakterystyczne dla ówczesnego wizerunku Limanowej. Tych reprodukcji było sześć.

Łącznie więc w trzyodcinkowym cyklu „Galerii obrazów Franciszka Mrażka” przedstawiliśmy 24 pozycje fotograficznych reprodukcji oryginalnych obrazów, które znajdują się zarówno w prywatnych zbiorach, jak również w instytucjach w Limanowej.

Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości czy Franciszek Mrażek był artystą sądeckim czy limanowskim wystarczy obejrzyć Jego obrazy, których tematem są prawie wyłącznie sceny limanowskie. Prawie, ponieważ Mrażek malował także sceny biblijne (obrazy znajdują się w wielu kościołach na Ziemi Limanowskiej), a na zamówienie również znane osobistości (np. Franciszka Stefczyka).

Ze względu na powrót do tematu osoby Franciszka Mrażka w mediach ogólnopolskich, w obecnym numerze „EL” prezentujemy kolejne reprodukcje mniej znanych jego obrazów z prywatnych kolekcji. Być może spośród tych obrazów znajdą się gdzieś ich repliki, które uznane zostaną za unikatowe dzieła sztuki, tak jak ten ostatni obraz „Na przypiecku”.

**Stanisław Ociepka**

# Był człowiekiem niezwykłym – wspomnienia o Andrzeju Dyczku



Mój tata był człowiekiem wybitnym i niezwykłym pod każdym względem. Co ciekawe, a o czym niestety On sam zapewne nie wiedział, nie jest to wcale mój pierwszy tekst, którego stał się głównym bohaterem. Uświadomiłam sobie dzisiaj, że nie tylko wiele razy opisywałam Go już w wypracowaniach szkolnych, ale także na każdym egzaminie – na koniec szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum, przynajmniej raz nawiązałam do jego osoby, bądź uczyniłam go postacią pierwszoplanową swoich prac pisemnych. Był człowiekiem mądrym, dobrym, nadzwyczaj spokojnym i na zawsze pozostanie już dla mnie niedoścignionym ideałem. Potrafił rozwiązać każdy problem, a nawet w najtrudniejszych chwilach zachować zimną krew. Samodzielnie mierzył się z trudnościami, które go dotyczyły, starając się oszczędzać swoim bliskim zmartwień. Znał dobrze swoją wartość, a także moją i mojego rodzeństwa. Zawsze głęboko w nas wierzył. Nie musiał wcale mówić o tym wprost, wiedzieliśmy, że oczekuje od nas wielkich rzeczy. I chociaż osiągnął w pojedynkę w swoim życiu tak wiele, troje swoich dzieci stawiał na pierwszym miejscu. Robił w swoim życiu to co kochał, a kochał przede wszystkim pomagać ludziom i ich dobro było dla niego priorytetem. Z tego też powodu wciąż się kształcił, by swoją pracę wykonywać jak najlepiej i nigdy nikogo nie zawieść.

Mój tata, Andrzej Józef Dyczek, urodził się w Limanowej 4 lutego 1959 roku. Był najstarszym synem Ludwika i Marii oraz bratem Grzegorza, Pawła oraz najmłodszej (siostry) Hani. W rodzinnym mieście ukończył I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana w Limanowej, w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Ponadto, zdawał egzaminy z biologii i chemii, aby dostać się na wymarzone studia medyczne w Krakowie. Gdy

byłam jeszcze bardzo małą dziewczynką, ze względu to, że na co dzień widywałam ojca, gdy siedział za biurkiem, przy książkach i pomimo dorosłego przecież już wieku wciąż się uczył, wydawało mi się, że tata zawsze też taki musiał być. Nie potrafiłam wyobrazić go sobie inaczej niż jako prymusa, siedzącego w pierwszej ławce, z piórem w ręce przygotowanym do skrupulatnego notowania i z uniesioną w górze ręką, gotową, by

odpowiedzieć na pytania, zadane przez profesora w czasie lekcji. Gdy byłam w 4 klasie podstawówki, nadarzyła się niepowtarzalna okazja, by tata wyprowadził mnie jednak z tego błędu. Na zadanie z historii musiałam przeprowadzić wywiad z rodzicami na temat ich lat szkolnych i zupełnie nie spodziewałam się, że tata okaże się tak wdzięcznym obiektem do opisywania. Dowiedziałam się między innymi, że „ośła ławka” była ławką najczęściej przez niego zajmowaną, a także, że był też mistrzem w zanurzeniu warkoczy koleżanek w kałamarnicach i w znajdowaniu powodów, żeby tylko nie pójść do szkoły lub nawet aby odwołano zajęcia. Opowiedział mi wówczas także historię, z której był wyjątkowo dumny, o tym jak pewnego dnia, przed zajęciami w szkole złapał zaskrońca i pomalował go pisakiem, tak by przypominał zmiję, a później niepostrzeżenie wypuścił zwierzę z torby w czasie zajęć. Kiedy reszta uczniów panikowała w obawie przed jadowitą zmiją, mój tata, a wtedy mały Andrzejek, bohatersko uratował kolegów, chwytając „potwora” gołymi rękami i pozbywając się go prędko z klasy. Pamiętam uśmiech na jego twarzy, gdy opowiadał, że w ramach uznania za swoją odwagę, otrzymał nawet pochwałę od samego Dyrektora szkoły. Nie wiem, czy ta historia rzeczywiście potoczyła się tak jak przedstawił mi ją tata, ale wcale nie mam potrzeby się tego dowiadywać. Myślę, że w życiu każdego człowieka potrzebna jest odrobina fantazji i wiary w rzeczy niemal niemożliwe. Tata też musiał tak myśleć, bo nie raz dokonywał rzeczy, które innym osobom mogły się wydawać nieosiągalne.

Kolejnym na to dowodem jest, że gdy moje rodzeństwo było młodsze, uwielbiał czytać im przed snem „Harrego Pottera” i „Władcę pierścieni” – książki, które przenosiły ich w magiczne, fascynujące światy. Potrafił znaleźć na to czas, pomimo natłoku pracy i obowiązków. Mnie natomiast, gdy byłam jeszcze bardzo małą, opowiadał na dobranoc bajki swojego własnego autorstwa. Obiecał, że gdy

► sam będzie na emeryturze, spisze dla mnie te historie, żebym mogła je czytać także własnym dzieciom. Opowiadały one o jego domu w Limanowej i króliczku-wampirku, który lubił w nocy kraść kury, należące do mojej babci. Babcia zaś była czarownicą i w każdym opowiadaniu taty próbowała przechytrzyć biednego króliczka-wampirka, złapać go albo zaczarować. Niestety każda z tych prób kończyła się niepowodzeniem.

W 1978 roku tata przeprowadził się do Krakowa, do małej kawalerki na ulicy Altanowej i w październiku tego samego roku rozpoczął swoje wymarzone studia na wydziale lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będąc studentem, udzielał się w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów Akademii Medycznej, a po 6 latach, 28 czerwca 1984 roku otrzymał dyplom Akademii Medycznej. Następnie zrobił specjalizację (w latach 1988 i 1998) I i II stopnia z chorób wewnętrznych. W roku 1997 otrzymał tytuł doktora nauk medycznych. Przez pierwsze lata po skończeniu studiów pracował jako asystent w Klinice Alergii i Immunologii pod kierownictwem profesora Andrzeja Szczeklika. Równocześnie pracował jako lekarz pogotowia ratunkowego oraz w Szpitalu Uniwersyteckim na Skawińskiej. Tam też w 1989 roku poznał moją piękną mamę, a swoją przyszłą żonę Małgorzatę. Mimo że rodzice przez dziesięć lat mieszkali na tej samej ulicy, poznali się dopiero w szpitalu, gdzie mama robiła staż pielęgniarski po pierwszym roku studiów medycznych, które ukończyła ze specjalizacją z dermatologii w 1993 roku. We wrześniu 1991 roku wzięli ślub w Bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie na ulicy Kopernika, w miejscu, które było zapewne najbliższe ich sercu, bo w otoczeniu budynków szpitala uniwersyteckiego. Rok później na świat przyszedł ich syn Łukasz, 3 lata później córka Kasia, a w 1998 roku – ja, Weronika.

Co więcej, na kilka miesięcy przed swoim ślubem, w 1991 roku, tata wraz z grupą przyjaciół (wśród których znajdowali się Jakub Swadźba, Mariusz Korkosz, a także młodsza siostra taty – Hanna Korkosz) zorganizował i udał się na 3 miesiące do Afryki na pierwszą Polską Misję Medyczną, gdzie pracował w Szpitalu Misyjnym w Zambii, lecząc tam między innymi chorych na AIDS. Od początku lat 90-tych pracował w II Katedrze Chorób Wewnętrznych Collegium Medicum UJ



Andrzej Dyczek

– w Ośrodku Chorób Immunologicznych, gdzie stworzył pierwsze laboratorium autoimmunologiczne, a także był współzałożycielem poradni immunologicznej. Dzięki założeniu współczesnego laboratorium, zajmującego się wykrywaniem autoprzeciwciał, powstały nowe możliwości diagnostyczne, które w sposób znaczący wpłynęły na profil leczniczy i dalszy rozwój kliniki. Miał wówczas okazję blisko współpracować nie tylko z Profesorem Andrzejem Szczeklikiem, ale także Profesorem Jackiem Musiałem. Był jednym ze współtwórców Ośrodka Chorób Immunologicznych i Środowiskowych, a także jednym z pierwszych lekarzy, którzy tam pracowali. Z początkiem lat 90-tych wraz z kolegami ze środowiska medycznego stworzył Medycynę Praktyczną – największą organizację, kształcącą lekarzy w całej Polsce. Co więcej, w latach 1990-2013 pracował na stanowisku starszego asystenta w Poradni Immunologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, a następnie, u boku pani profesor Anetty Undas jako konsultant, w Poradni Immunologicznej i zaburzeń krzepnięcia krwi Krakowskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II w Krakowie. W roku 2015 otrzymał kolejną specjalizację – z alergologii. Był w trakcie kończenia specjalizacji z Immunologii, którą planował

otrzymać w roku 2017. Przez cały okres swojej pracy i studiów, stał się autorem i współautorem około 25 prac naukowych i doniesień. Oprócz tego, w 1992 otworzył we współpracy z Doktor Grażyną Jasinek-Pinis Specjalistyczną Poradnię Medyczną „Atopię”, a w późniejszym czasie stał się także jednym z współtwórców Małopolskiego Centrum Medycznego. Z początkiem 2013 roku otworzył prywatne Specjalistyczne Poradnie Lekarskie „Dobry Lekarz”, znajdujące się przy Placu Szczepańskim.

Był lekarzem wybitnym – cenionym przez innych specjalistów i szanowanym przez swoich pacjentów. Każdemu starał się dawać od siebie jak najwięcej mógł. Przy całej swej niezwykłości, pozostał do końca bardzo skromnym i cichym człowiekiem, o wielkim sercu i jeszcze większej pasji do swojej pracy. Pacjenci i praca taty stali się Jego drugą rodziną, o którą niejednokrotnie sama byłam zazdrosna.

Tata zmarł w niedzielę 8 stycznia bieżącego roku na miesiąc przed swoimi pięćdziesiątymi ósmymi urodzinami. Stało się to w wyniku tragicznego wypadku podczas spaceru z psem, kiedy chcąc ratować ukochane zwierzę, które wpadło do rzeki, wszedł na zamrzniętą wodę. W odległości kilku metrów od brzegu lód załamał się pod jego stopami i pomimo

późniejszej akcji ratunkowej, nie udało się już uratować jego życia. Po pogrzebie taty, usłyszałam, że wielkość człowieka można zmierzyć po tym, ile zrobił dobrego dla innych i ile z siebie im poświęcił. Myślę, że te piękne słowa podsumowują całe życie mojego taty, które w całości poświęcił pomaganiu innym. W ostatnich swoich chwilach oddał własne życie, by ratować ukochanego psa, z którym, od dnia, kiedy pojawił się w domu, spędzał każdy wieczór oraz każdą wolną chwilę

i który naprawdę był jego prawdziwym przyjacielem, mimo że na 4 łapach.

Pogrzeb i uroczystości pogrzebowe odbyły się 14 stycznia w kościele Opactwa OO. Benedyktynów w Tyńcu. Tyńiec, znajdujący się pod Krakowem, tata wybrał wiele lat wcześniej jako miejsce, w którym zbuduje dom dla swojej rodziny. Oddalony od wrzawy tętniącego miasta, spokojny i bliski naturze, która była dla taty również bardzo ważna. To właśnie tutaj kupił działkę, gdzie zbudował dom

dla swojej rodziny, a w pięknym, zadbanym ogrodzie, posadził niejedno drzewo. Mieszkamy w Tyńcu od czternastu lat, w pobliżu lasu i Wisły, czyli ulubionych tras spacerowych taty. Dzięki tacie z miejscem tym wiąże się wiele wspaniałych wspomnień i przygód, takich jak budowanie latem baz w lesie, czy zimą wielkiego igloo i dzięki tacie jest to miejsce, które naprawdę i ze szczerą dumą możemy nazwać naszym prawdziwym, pięknym Domem.

# Co pisała lokalna prasa lat 50. o budowie kinoteatru

Stanisław Ociepka

Po ponurych latach okupacji niemieckiej, społeczeństwo polskie budziło się do życia, tak też było i w Limanowej. Zaraz po wojnie powstał tu Amatorski Teatr Ziemi Limanowskiej, który wystawiał sztuki w zniszczonym budynku „Sokoła”, dając ludziom radość i nadzieję.

Mieszkańcy Limanowej jednak marzyli o nowoczesnym budynku, który spełniałby odpowiednie standardy centrum kultury miasta. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia pojawiły się możliwości realizacji tych pragnień. Przystąpiono do budowy kinoteatru.

Pisali o tym Zbigniew Sułkowski w artykule zatytułowanym „O limanowskich kinach – tak bardziej przyczynkowo” („EL”, nr 266-267, listopad – grudzień, 2016 r.) oraz Tomasz Jan Biedroń w artykule o tytule „O limanowskim kinie Sojusz raz jeszcze” („EL”, nr 268-269, styczeń – luty, 2017 r.).

Obecnie dopełniamy wiedzę z tej tematyki w oparciu o relacje, które ukazały się w prasie lokalnej w latach 50. XX wieku. Zawartość informacji w tych artykułach jest wyjątkowa, gdyż pisane przez osoby uznane w środowisku limanowskim za wiarygodne.

Zanim przedstawię te artykuły, kilka zdań wyjaśnień na temat lokalnych gazet ukazujących się na rynku wydawniczym w latach 50. w Limanowej



Budynek kinoteatru w latach siedemdziesiątych XX wieku. Wzdłuż ulicy Orkana aleja robinii.

W listopadzie 1954 roku ukazuje się sądecka gazeta powiatowa „Wiadomości Sądeckie”. Pół roku później, 20 kwietnia 1955 roku wydany zostaje pierwszy numer „Echa Limanowskiego”. Organem wydawniczym tych lokalnych gazet są: PRN, KP PZPR, KP Frontu Narodowego. Niestety po wydaniu 12 edycji gazety, 15 czerwca 1956 roku „Echo Limanowskie” przestało się ukazywać. Jedną z głównych przyczyn upadku tej pierwszej po II wojnie światowej gazety Limanowej, był brak finansów.

Redaktorzy „EL” nie mogli się z tym faktem pogodzić i podejmują współpracę z redakcją „Wiadomości Sądeckich”.

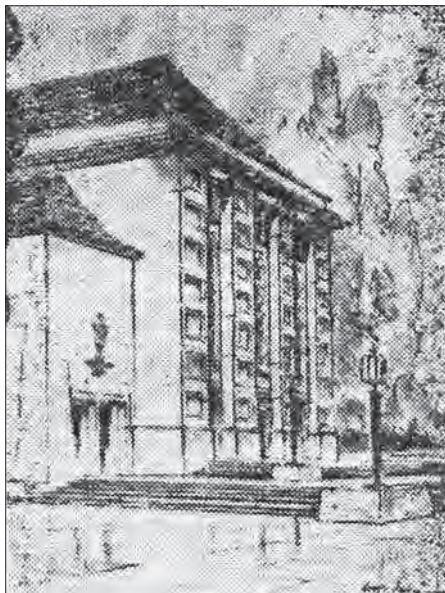
Od numeru 35. tej gazety w sierpniu 1956 roku pojawia się nowy tytuł „Wiadomości Sądecko-Limanowskie”.

Tak więc w wyniku połączenia wspólnych wysiłków redakcji „Wiadomości Sądeckich” z redakcją „Echa Limanowskiego” na zasadach autonomicznej komórki organizacyjnej utrzymującej się na własnym budżecie, zaczęto wydawać dwutygodnik o nowym tytule „Wiadomości Sądecko-Limanowskie”. Macierzysta redakcja miała siedzibę w Nowym Sączu, a treści zawarte w tej gazecie obejmowały powiaty sądecki i limanowski. Dwutygodnik drukowany był w Krakowskich Zakładach Graficznych. ►

Po krótkim okresie żywiołowego i szybkiego rozwoju prasy powiatowej w drugiej połowie 1956 r., któremu sprzyjała ówczesna sytuacja polityczna, nastąpiło pod koniec roku i na początku 1957 r. porządkowanie prasowego rynku wydawniczego (wiązało się to z cenzurą).

Po wydaniu 47 numerów „Wiadomości Sądecko-Limanowskich” ostatni numer ukazał się 22 lutego 1957 roku. Tak zakończył się powojenny krótki okres wydawania lokalnej prasy, która dopiero mogła ponownie pojawić się na rynku wydawniczym po transformacji politycznej w 1989 roku.

Powracam więc do zasadniczego tematu budowy kinoteatru, który w latach powojennych dla Limanowej był ważnym wydarzeniem, śledzonym przez mieszkańców naszego miasta.



Projekt nowego kinoteatru w Limanowej (rysunek z „EL” nr 1, z kwietnia 1955 roku).



W pierwszym numerze „Echa Limanowskiego” wydanym 20 kwietnia 1955 roku w artykule Czesława Bogacza, zatytułowanym „Budujemy kinoteatr w Limanowej” możemy przeczytać: *Od dawna mieszkańcy Limanowej uskarżają się na brak rozrywek. Mimo najlepszych chęci organizatorzy różnych imprez stają przed trudnościami nie do przecięcia. W mieście nie ma bowiem odpowiedniej sceny, a jedyna sala jest zbyt szczupła, aby można było w niej urządzić większą imprezę.*

*Przed dwoma laty przystąpiono do rozwiązywania tego problemu. Mianowicie – postanowiono wybudować nowoczesny kinoteatr. W tym celu zawiązał się komitet budowy, który zwrócił się o pomoc do całego społeczeństwa. Niebawem napłynęły liczne składki pieniężne, a szereg instytucji udzieliło pomocy materialnej.*

*Największą pomoc okazało Prezydium Powiatowej Rady Narodowej przydzielając parcelę pod budowę przyszłego kinoteatru. Równocześnie z sum pieniężnych, ofiarowanych przez mieszkańców miasta, pokryto koszt dokumentacji*

*technicznej. Obecnie prace posunęły się tak daleko, że rozpoczęto wykopy ziemne pod fundamenty.*

*Wprawdzie komitet uzyskał dotację, która pokrywa większą część kosztów, ale potrzebna jest jeszcze pewna pomoc ze strony społeczeństwa.*

*Duże możliwości ma w tej dziedzinie Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Jedność” i Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni, które jednak nie dokładają odpowiednich starań przy rozprzedaży cegiełek na budowę kinoteatru. Muszą oni zrewidować swój stosunek do tej sprawy, tym bardziej, że nowoczesny budynek będzie przeznaczony również dla nich.*

W kolejnym artykule autorstwa Tadeusza Ociepki znanego w Limanowej artysty malarza, który był autorem logo „Echa Limanowskiego” i wielu innych grafik stosowanych w tej lokalnej gazecie, opisuje zarówno wnętrze jak i architekturę mającego powstać kinoteatru.

W numerze 40. „Wiadomości Sądecko-Limanowskich” wydanych, 11 – 25 listopada 1956 r. w artykule „Kinoteatr”, w oparciu o projekt przedstawia on

własną wizję budynku kinoteatru w postaci rysunku.

W felietonie tym napisał: *Dużo mówi się w Limanowej o budowie kinoteatru. Wszyscy zgadzamy się co do potrzeby wybudowania obszerniejszego pomieszczenia, przeznaczonego na cele projekcji filmowych, równocześnie przystosowanego do wystawiania sztuk teatralnych. Często jednak można się spotkać ze zdaniem, że budowa jest zbyt mała i nie dostosowana do potrzeb teatru. Czy tak jest w rzeczywistości? Na podstawie rozmowy, przeprowadzonej z kierownikiem budowy Doboszkim i inspektorem nadzoru inż. Kwiecińskim, po szczegółowym zapoznaniu się z projektem budowy, należy uważać za bardzo szczęśliwe rozwiązanie projektu tak pod względem przestrzeni użytkowej, jak również pod względem plastycznym.*

*Rozpatrzmy więc wspólnie projekt budowy.*

*Na półtora metra ponad poziom ulicy usytuowano parter, który zawiera duży hall z dwoma kasami biletowymi, kancelarię, pomieszczenie na tablicę rozdzielczą oraz drugi duży hall – poczekalnię o powierzchni 12x12 m wsparty na czterech kolumnach. Podkreślić należy, że hall ten będzie świetnym miejscem na pomieszczenie wystaw obrazów, a przede wszystkim na zabawy, gdyż posiada pomieszczenia bufetowe, miejsce na orkiestrę, palarnię, szatnie i niezbędne urządzenia sanitarne. Szeroka wygodna klatka schodowa prowadzi z hallu na pierwsze piętro do sali widowiskowej. Będzie to nowoczesna sala o pochylej podłodze, w której zostanie ustawionych około 400 miejsc siedzących.*

*Sala zaopatrzona będzie w trzy wejścia i oddzielnie trzy wyjścia. Scena w zupełności zaspokoi nasze potrzeby. „Światło” sceny wynosi 10m długości i 6m wysokości oraz przystosowane jest do ekranu panoramicznego. Głębokość sceny bez ramy wynosi 7 m.*

*Do urządzeń scenicznych należą: dwie obszerne garderoby, pomieszczenie na rekwizyty oraz sala na próby zespołu teatralnego.*

*Nad widownią znajduje się operatornia, przewijalnia filmów, pokój operatora i oddzielne pomieszczenia na: prostowniki, akumulatory i kwasy. Tyle co do projektu budowy.*

*Moim zdaniem Komitet budowy dobrane ustalił nasze potrzeby, które znalazły odbicie w pracy projektanta budynku mgr inż. Fedaka. Jest to już trzecia praca inż. Fedaka na naszym terenie.*



# Wiadomości

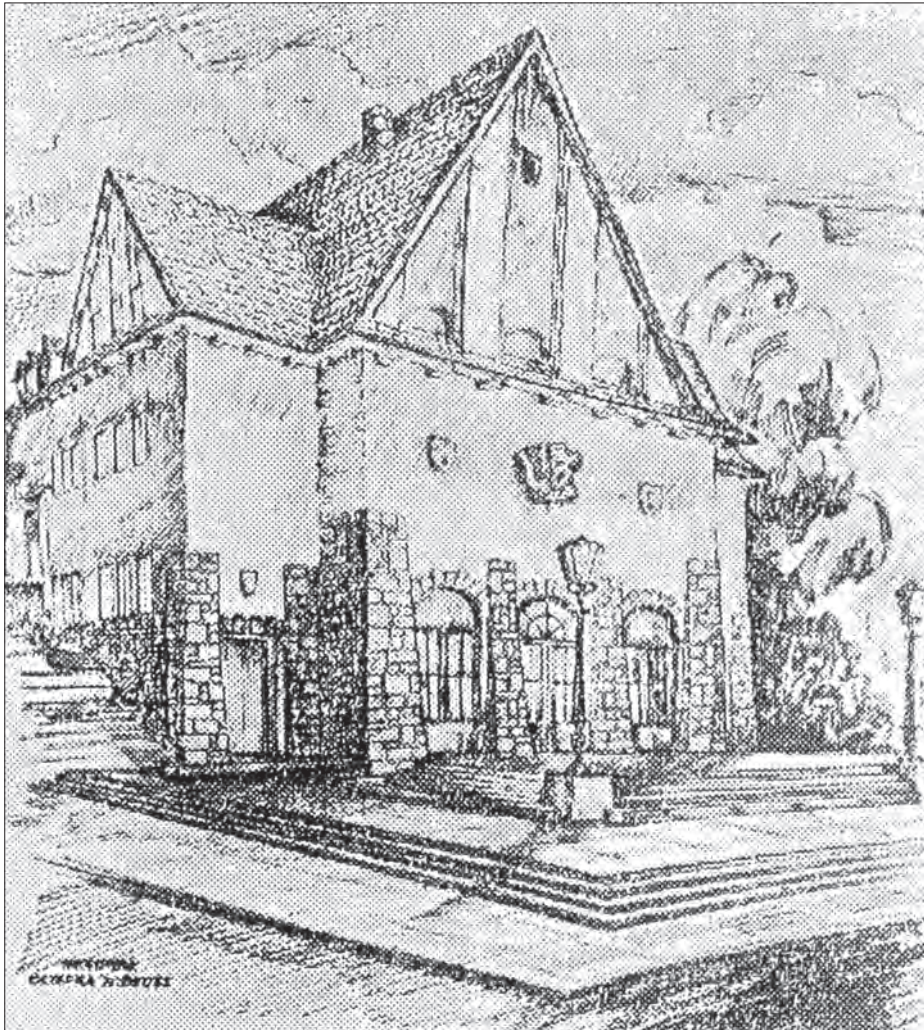
## SĄDECKO-LIMANOWSKIE

ORGAN KOMITETÓW FRONTU NARODOWEGO

Nr 40 (III)

11–25 listopada 1956 r.

Cena 60 gr



Kinoteatr, rysunek Tadeusza Ocieпки z „Wiadomości Sądecko-Limanowskich” nr 40, z listopada 1956 roku.

Budynek kinoteatru utrzymany jest w stylu tutejszego regionu, ozdobiony tutejszym kamieniem łupanym. Już dzisiaj zauważamy, że ten element dekoracyjny jest szeroko stosowany w rynku i jest bardzo charakterystyczny dla naszego miasta. Należałoby tą miejscową tradycję kontynuować nadal ze względu na łatwość zdobycia kamienia, jego trwałość i piękno. Budynek odznacza się dobrze zachowanymi proporcjami poszczególnych powierzchni bryły oraz ich rozbięciem w stosunku do całej masy. Posiada

piękną sylwetkę, usytuowanie w terenie. Ściany przednie mają głęboki wyraz plastyczny, na który składają się umiejętnie i z umiarem wykorzystany miejscowy kamień i elementy zdobniczo – rzeźbiarskie. Forma odpowiada ściśle przeznaczeniu budynku, naszym miejscowym upodobaniom i tradycji.

Jeśli ocenić postęp robót ostatnich czterech miesięcy – bo właśnie roboty budowlane rozpoczęto z dniem 1 czerwca 1956 r. – można stwierdzić znaczny ich postęp, który należy zawdzięczać tak załodze

robotniczej jak również kierownictwu i nadzorowi technicznemu. Robotnicy: Michał Wrona, Józef Bieda, Władysław Strug, Franciszek Kędzior w pełni zasługują na uznanie. Wiele troski w całokształcie budowy wykazał Komitet budowy.

Serdecznie im dziękujemy!

Z artykułów tych dowiadujemy się jak wielkie zaangażowanie było w limanowskim społeczeństwie zarówno w gromadzeniu środków finansowych jak i również przy budowie kinoteatru, który przez wiele lat był centrum kultury w Limanowej. Niestety następne pokolenia mieszkańców naszego miasta tego trudu nie doceniły. Dzisiaj o świetności tego miejsca jedynie przypominają dwie kute latarnie stojące przed budynkiem, projektu Tadeusza Ocieпки.

### Wyjaśnienie

Redakcja „Echa Limanowskiego” zawsze była otwarta na dialog z Czytelnikami. Wielokrotnie zapraszaaliśmy do współpracy ludzi z różnych środowisk. Troszczymy się o właściwe relacje przy redagowaniu artykułów, szczególnie tych, które mają ogólnospołeczny charakter i są odbierane często z dużą wrażliwością przez poszczególne osoby.

Tak też uczyniliśmy przy relacjonowaniu niezwykle ważnego w naszym mieście wydarzenia jakim był jubileusz 50. rocznicy koronacji Piety limanowskiej.

Spośród wielu wspomnień, które wpłynęły do redakcji, wybraliśmy te, które ukazywały najpełniejszy obraz tych uroczystości.

Zdarzyło się jednak, że jedna z osób opisujących jubileusz zamieściła niesprawdzone informacje, które mogły dotknąć osoby zaangażowane w przygotowanie uroczystości, za co Redakcja przeprasza.

# Uzupełnienia do biografii dr Mieczysława Piotra Myconia

W marcowo-kwietniowym numerze 270-271 „Echa Limanowskiego” z bieżącego roku została opublikowana mojego autorstwa biografia dr. Mieczysława Myconia, pioniera limanowskiej służby zdrowia i pierwszego dyrektora Szpitala Powiatowego w Limanowej. W kilka tygodni później nadeszły kopie akt personalnych dr. Myconia z Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie i Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie, które dały nowe spojrzenie na nieznane i nie uwzględnione przeze mnie fragmenty jego działalności zawodowej. Chodzi zwłaszcza o wykonywaną przez niego pracę lekarza-chirurga w okresie międzywojennym i w czasie pełnienia służby w Wojsku Polskim.

Mieczysław Piotr Mycoń urodził się 31 stycznia 1905 roku w Bagienicy w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Do 3-klasowej szkoły powszechnej uczęszczał w Dąbrowie Tarnowskiej (1912-1915), następnie uczył się w Gimnazjum klasycznym w Tarnowie (1915-1923). Po zdaniu matury w 1923 roku rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim UJ, trwające 6 i pół roku, które ukończył w 1931 roku. Od 1933 do VII 1939 roku pracował w Szpitalu Bonifratrów w Krakowie, jako sekundariusz, zaś od VII do IX 1939 w Szpitalu Bonifratrów w Łodzi, już jako szef chirurgii<sup>1</sup>. W ankiecie specjalnej znajdującej się w aktach dr. Myconia w IPN w Szczecinie odnotowano, że w latach 1931-1936 pracował m.in. w Klinice Ginekologiczno-Położniczej UJ i Szpitalu Bonifratrów w Krakowie. W napisanym przez siebie życiorysie podawał, że od końca studiów pracował w charakterze lekarza praktykanta w Szpitalu Bonifratrów i w klinice chorób kobiecych w Krakowie<sup>2</sup>.

Od X 1939 do IV 1945 odbywał praktykę lekarską, jako chirurg i ginekolog w Dobrej.

13 lutego 1945 roku zarejestrował się w Rejonowej Komendzie Uzupełnień w Nowym Sączu, zaś w kwietniu tego roku został powołany do odbycia służby w WP i skierowany do 66. Szpitala Ewakuacyjnego w Poznaniu, jako szef oddziału chirurgicznego. W dwa miesiące później został mianowany kapitanem, mimo że nie przechodził wcześniej szkolenia wojskowego. W listopadzie 1945 roku przeniesiono go do Koszalina, gdzie był szefem oddziału chirurgicznego i jednocześnie zastępcą komendanta

Szpitala Garnizonowego do grudnia 1946 roku. W dokumentach z IPN w Szczecinie wynika, że od stycznia 1946 roku był też kontraktowym chirurgiem i ginekologiem Polikliniki przy Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Koszalinie. W związku z przeniesieniem WUBP i Polikliniki z Koszalina do Szczecina został zwolniony, ponieważ nie mógł przejść do Szczecina z racji służby i przydzielonych obowiązków w WP<sup>3</sup>.

W wystawionej dr. Myconiowi opinii Komendant Szpitala Garnizonowego w Koszalinie mjr dr Kazimierz Mulał podkreślał bardzo dobre i wręcz wybitne kwalifikacje dr. Myconia jako chirurga. Obowiązki wypełniał sumiennie i ofiarnie, odznaczał się dużym zmysłem organizacyjnym i nadawał się na kierownicze odpowiedzialne stanowisko. Był koleżeński, zdyscyplinowany, samodzielny, lecz nie brał udziału w pracy polityczno-wychowawczej<sup>4</sup>.

W sierpniu 1946 roku dr. Myconia awansowano do stopnia majora. Został przeniesiony do Torunia, gdzie od 10 grudnia 1946 pełnił funkcję szefa oddziału chirurgicznego Okręgowego Szpitala nr 2 wraz z Polikliniką. Opinia komendanta Szpitala dr. Henryka Rottera z 28 III 1947 roku wprawdzie podkreślała fachowe przygotowanie dr. Myconia, jego samodzielność, doświadczenie, ambicję, pewność siebie, ale wskazywała też na nieprzeprzeżenie przez niego aseptyki, nie w pełni obmyślane operacje, nieumiejętne postępowanie z personelem, złe gospodarowanie, niedbanie o oszczędności, co nie zjednywało mu sympatii wśród pracowników szpitala. W sentencji komendant zawarł stwierdzenie o „niewłaściwej



Mieczysław Mycoń 1905-1957.

postawie i zachowaniu wojskowym dr. Myconia”. Poza tym napisał „o jego reakcyjnym nastawieniu przed wyborami, ujawnionej wrogości do Polski Ludowej”. Opinie podpisał również kapitan, zastępca komendanta szpitala do spraw polityczno-wychowawczych. Opinia ta przesądziła o dalszym losie dr. Myconia w WP<sup>5</sup>.

W dniu 28 marca 1947 roku, a więc w dniu wystawienia cytowanej opinii, został zdemobilizowany z wojska. Osiadł w Sowlinach, gdzie w kwietniu został mianowany dyrektorem nowo utworzonego Szpitala Powiatowego w Limanowej. W kwietniu następnego roku został przeniesiony do rezerwy. Ze sporządzonego 3 XI 1949 roku przez Okręgową Komisję Rejestracyjno-Weryfikacyjną nr 14 Ministerstwa Obrony Narodowej w Nowym Sączu arkusza weryfikacyjnego wynika, że był bezpartyjny, wyrzekł się pracy społeczno-politycznej, był „związany z sanacją, wrogo ustosunkowany do partii politycznych”. Na wniosek Okręgowej Komisji Rejestracyjno-Weryfikacyjnej z 23 lutego 1950 stwierdzono, że nie kwalifikuje się do II rzutu, pod względem wykorzystania, jako oficer, a niebawem przeniesiony został do III rzutu, czyli w całkowitą odставку<sup>6</sup>.

Z życiorysu dr. Myconia wynika, że od 1950 do maja 1956 pracował w ośrodku zdrowia w Limanowej, a od 1954 do 1956 był także lekarzem kolejowym w Limanowej.

Według aktu zgonu sporządzonego przez kierownika Urzędu Cywilnego w Dobrej w dniu 14 I 1959 roku dowiadujemy się, że zmarł 27 listopada 1957 roku w Dobrej, gdzie został pochowany.

Jako kuriozum niech posłuży fakt, że w styczniu 1973 i maju 1979 roku

Komenda Wojewódzka MO w Szczecinie zwróciła się do Naczelnika Wydziału VIB „C” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie o aktywizację adresu dr. Myconia. Dwukrotnie odpowiadano, że nie figuruje, jako zameldowany na terenie Polski<sup>7</sup>.

W służbie w WP otrzymał: Medal Za Odrę, Nysę i Bałtyk, Medal Zwycięstwa i Wolności.

**Fotografia: arch. WBH w Warszawie**

<sup>1</sup>. Akta Personalne ON nr 6155 mjr-a Mycdoń Mieczysława s. Józefa, Wojskowe Biuro Historyczne w Warszawie (dalej WBH), bez paginacji stron.

<sup>2</sup>. Akta Personalne Mycdoń Mieczysław s. Józefa, 0019/2361, Instytut Pamięci Narodowej w Szczecinie (dalej IPNSz), s.3-7, l 13.

<sup>3</sup>. Op.cit., s.14-19.

<sup>4</sup>. Akta Personalne MON nr 6155 mjr-a Mycdoń Mieczysława s. Józefa, WBH.

<sup>5</sup>. Op.cit.

<sup>6</sup>. Op.cit.

<sup>7</sup>. Akta Personalne Mycdoń Mieczysław s. Józefa, 0019/2361, IPNSz, s.5-97.

# Radiofonizacja w Limanowej i w powiecie cz. 1

**Tomasz Jan Biedroń**

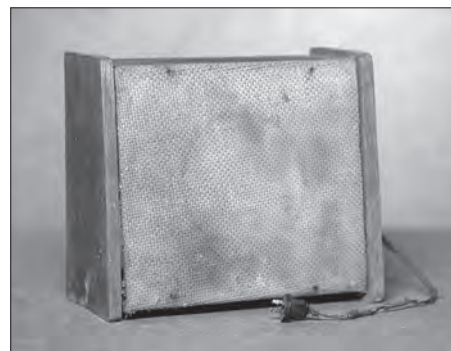
W żadnej dziedzinie dorobku kulturalnego nie poniosła Polska w czasie wojny tak dotkliwych szkód, jak w dziedzinie radiofonii. Straty na tym polu wyrządzone przez okupanta wynosiły 97% stanu z 1939 roku. Zniszczeniu lub wywiezieniu uległo 10 rozgłośni Polskiego Radia, ponad milion odbiorników lampowych i detektorowych, a za słuchanie radia groziła kara śmierci. Po zakończeniu wojny z trudem przystąpiono do odbudowy radiofonii. Postawiono na radiofonię przewodową, która zapewniała znacznie wygodniejsze warunki odbioru, bo odbiór przez wzmacniacze na głośniki. Z dnia na dzień zwiększała się ilość radioodbierników, która w 1946 roku przekroczyła 200 tys., co w porównaniu do okresu przedwojennego ponad 1 mln 200 tys., było zaledwie niewielką częścią. Szybkiej radiofonizacji Polski stały na przeszkodzie z jednej strony brak sprzętu radiowego, z drugiej brak funduszy<sup>1</sup>.

Państwo nie mogło zaspokoić zapotrzebowania społeczeństwa na radiofonizację, a to z powodu braku dostatecznych środków, małej ilości sprzętu radiowego i braku aparatu administracyjnego. W tych warunkach społeczeństwo podjęło samorzutnie inicjatywę dopomożenia sobie, powołując Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju (SKRK). Celem stowarzyszenia było udostępnienie dzięki radiofonizacji najszerszym warstwom społeczeństwa polskiego wartości kulturalnych, społecznych i wychowawczych. Główny wysiłek skierowano na wieś, potem przedszkola, szkoły, świetlice, ośrodki życia społecznego, szpitale, zakłady pracy, spółdzielnie produkcyjne. Struktura władz SKRK była trójpozioma. Na szczeblu centralnym powołano Zarząd Główny, w miastach wojewódzkich Zarządy Okręgowe, w powiatach Zarządy Powiatowe.

SKRK współdziałał z Polskim Radiem w opracowywaniu planów

radiofonizacyjnych, naprawy sprzętu, wreszcie w zakresie krzewienia wiedzy o radiu. Współpracował w organizowaniu radiowęzłów, propagując wśród ludności akcję podwieszania głośników. Dzięki pracom pomocniczym wykonywanym przez miejscową ludność, jak zwózka słupów, budowa linii radiofonicznych, zakładanie urzędów radiowych odbywało się sprawnie i kosztowało taniej. Działające w terenie koła SKRK troszczyły się o to, by istniejące na ich terenie szkoły, przedszkola, świetlice zaopatrzone były w głośniki. Główną troską SKRK były szkoły zwłaszcza na wioskach i małych miejscowościach, którym udzielało pomocy materialnej, ze skromnych środków zakupywano dla nich aparaty radiowe, dając szkołom korzystne rabaty i umożliwiając długoterminowe spłaty.

Największą bolączką SKRK były fundusze, które czerpano ze składek członkowskich, z organizowanych imprez, sprzedaży cegiełek, z których dochód



Tradycyjny głośnik radiowęzłowy „kolchoznik”.

przeznaczano na zakup sprzętu radiowego. Za pośrednictwem urzędów pocztowych rozprawdzano znaczki, legitymacje, przyjmowały one również zapisy na członków SKRK. Członkostwo umożliwiało nabywanie aparatów oraz części radiowych w Polskim Radiu oraz upoważniało do zniżki na naprawę aparatów w warsztatach Polskiego Radia. Postawiono na radiowęzły, w których znajdował się odbiornik wysokiej klasy, wzmacniacze, sieć rozdzielcza systemu radiofonizacji, odgałęzienia do abonentów. Radiofonia przewodowa, zwłaszcza na terenie powiatu limanowskiego, zapewniała możliwość przeprowadzenia radiofonizacji w kierunku osiedli nie posiadających prądu elektrycznego, a to przy pomocy własnych linii. Wprawdzie radiofonia mogła obejmować wyłącznie tereny zelektryfikowane, ale spośród terenów nieelektryfikowanych tylko te, które znajdowały się w promieniu 10 km od radiowęzła. ▶

Działalność SKRK w województwie krakowskim datuje się od roku 1946. Faktyczna działalność rozpoczęła się w pierwszych miesiącach 1948 roku. Rozpoczęto wtedy systematyczną pracę. Na II Zjeździe Delegatów SKRK w Warszawie 23 maja tr. uchwalono statut, który stał się podstawą prawnej działalności wszystkich agend i instytucji organizacyjnych SKRK.

Po wojnie stopniowo postępowano radiofonizacja w samej Limanowej. Do września 1947 roku zainstalowano radiowęzeł miejski, który posiadał 53 abonentów oraz jeden głośnik uliczny. Ogólna ilość radioabonentów – tych zarejestrowanych – w całym powiecie wynosiła wtedy 190<sup>2</sup>. Nie można jednoznacznie stwierdzić, czy dokonano radiofonizacji z funduszy miejskich, czy też czerpano pieniądze z innych źródeł. Pierwszy zarząd Oddziału SKRK w Limanowej powołano w ślad za krakowskim około połowy 1948 roku, lecz z „powodu małego zainteresowania społeczeństwa powoli zgasł”. Dopiero 24 lutego 1949 roku w obecności starosty powiatowego Karola Winiarskiego, wicestarosty Tadeusza Horodyńskiego, który otwierając posiedzenie wskazał na „niedomaganie odbioru audycji”, zachęcając do skoordynowania wysiłków w pozyskiwaniu jak największej liczby członków i w konsekwencji rozbudowy radiofonizacji powiatu. Aby to spełnić należało włączyć w ten proces szerokie kręgi społeczeństwa. Pełnomocnik powiatowy SKRK w Limanowej Franciszek Bogacz zaprezentował zebranym cele i zadania SKRK, po czym dokonano wyboru Powiatowego Komitetu SKRK w składzie: prezes Karol Winiarski – starosta, wiceprezes Kazimierz Michniewicz – inspektor szkolny, sekretarz Józefa Sobolewska – rachmistrz Zarządu Miasta, skarbnik Józef Czamara – robotnik, członek zarządu Franciszek Bogacz – nauczyciel, zastępcy członków zarządu: Józef Baczyński – stolarz, Antoni Standio – strażnik miejski. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Franciszek Kwadrans, Zuzanna Bieda, Kazimierz Sierosławski, jako zastępcy Eugenia Wolfi i Jan Pałka<sup>3</sup>. Komitet Powiatowy SKRK w Limanowej mieścił się przy zarządzie miejskim.

Powoływane w następnych latach zarządy SKRK w Limanowej funkcjonowały krótko, ponieważ starostowie pełniący „z urzędu” funkcję przewodniczących zmieniali się jak w kalejdoskopie.



Budynek dawnej poczty (z prawej) był siedzibą radiowęzła limanowskiego.

Kolejny przewodniczący starosta Józef Podolski na październikowym zebraniu (1949) Zarządu Powiatowego SKRK w Limanowej podkreślił wagę radiofonizacji, która powinna objąć każdą szkołę, wieś, świetlicę, gdyż jak to zaznaczył radiofonizacja była instrumentem służącym nie tylko do podnoszenia kultury i oświaty, lecz posiadała aspekty społeczny i polityczny. Słuchacze mieli bowiem możliwość zapoznania się na co dzień z osiągnięciami Polski Ludowej, zorientowania się w polityce rządu mając możliwość uczestniczenia w przemianach gospodarczych, społecznych i politycznych, jakie dokonywały się w Polsce i świecie. Od samego początku na radiofonizacji zaciążyła polityka, radiofonizacja była traktowana przez partię, jako pas transmisyjny, tuba propagandowa do mas. Kołchoźniki uprawiały propagandę rządzącej partii, stając się symbolem komunikacji władzy ze społeczeństwem

W owym czasie w powiecie limanowskim nie powstały nowe koła SKRK poza jednym na terenie Limanowej, w którym działał Józef Czamara. Wobec braku organizacji SKRK w terenie do prowadzenia akcji inicjującej zakładanie kół postanowiono zobowiązać sekretarzy gminnych, którzy po uzgodnieniu stanowiska z organizacjami politycznymi, społecznymi, nauczycielami i ZMP mieli prowadzić akcję propagującą wśród społeczności lokalnych, zmierzającą do zawiązywania kół w terenie. Zajęto się też kwestią zbiórek ulicznych, sprzedażą cegiełek, ofiarodawcami mającymi dać fundusze na pokrycie wzrastających kosztów radiofonizacji. Po dyskusji z udziałem Lidii Kwiecińskiej, Józefa Cieśli, Franciszka Bogacza, por. Potoka postanowiono listy ofiarodawców przekazać, zaś cegiełki rozprowadzać w instytucjach, zakładach pracy i na terenie miast i gmin, w ilości zależnej od liczby mieszkańców. Przyjęto następujące proporcje: Limanowa miasto i wieś cegiełki

po 50 zł (400 sztuk) i 20 zł (400 sztuk), Mszana Dolna miasto i wieś 300 (50 zł) i 200 (20 zł). W gminach Tymbark, Dobra, Jodłownik, Ujanowice, Kamienica i Skrzydlina od 200-100 sztuk po 50 zł i tyle samo po 20 zł.

Organizację zbiórek ulicznych powierzone ZP ZMP, przydzielając 6000 sztuk znaczków rozprowadzanych w czterech miejscowościach: Limanowej mieście 3000, Mszanie Dolnej 2000, Tymbarku 500 i Dobrej 500 w wysokości od 20, 50 do 100 zł za sztukę. W sprzedaży pomagając ZMP miały: Służba Polsce, UPT i ZSCH. W Limanowej zbiórkę uliczną przeprowadzili: Lidia Kwiecińska, Anna Krupińska, Kaim i Kazimierz Sierosławski. Kierownik Radiowęzła w Limanowej zwrócił się do starosty o pieniądze na naprawę sprzętu radiowego oraz znalezienie odpowiedniego lokalu na radiowęzeł, ponieważ dotychczasowo nie nadawał się<sup>4</sup>.

Ze sprawozdań SKRK wynika, że nie wszędzie zbiórki uliczne i członkostwo w SKRK cieszyły się powszechnym poparciem społeczeństwa, a pozyskane z nich pieniądze, nie były satysfakcjonujące i nie pokrywały potrzeb radiofonizacji. Poza tym tylko część tych pieniędzy pozostawała w kole, resztę dzielono pomiędzy ZP a ZO SKRK. Przykładowo z opłaty członkowskiej wynoszącej 60 zł na miesiąc 25% pozostawało w kole, 25% w ZP, a 50% wpłacano do ZO SKRK w Krakowie. Być może podobne proporcje dotyczyły pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży znaczków i zbiórek ulicznych. W trakcie II Tygodnia Propagandy na rzecz Radiofonizacji Kraju zorganizowanego we wszystkich szkołach na terenie powiatu limanowskiego w październiku 1950 roku dochód ze sprzedaży legitymacji w kwocie 5175 zł przesłano w całości do ZO SKRK w Krakowie<sup>5</sup>.

Pomimo licznych trudności organizacyjnych ZP SKRK w Limanowej systematycznie zwiększała się liczba abonentów

Radiowęzła w Limanowej i zasięg radiofonizacji w powiecie. Ze sporządzonego zestawienia wynika, że w 1950 roku 49 abonentów skorzystało ze sprzedaży ratalnej głośników z: Limanowej, Lipowego, Słopic, Sowlin, Zamieścia i Koszar. Na pokrycie wstępnych kosztów abonent musiał wpłacić 600 zł, zaś z Zarządu Okręgowego SKRK w Krakowie otrzymywał pożyczkę w wysokości 3000 zł, którą musiał spłacić w 3 miesięcznych ratach, po spłaceniu których stawał się dopiero właścicielem głośnika <sup>6</sup>.

Tymczasem po odwołaniu starosty Józefa Podolskiego w 1950 roku Zarząd Powiatowy SKRK w Limanowej praktycznie przestał działać, chociaż na zebraniu w październiku tr. wybrano nowym przewodniczącym Fuchsa Naczelnika Wydziału Finansowego w Limanowej, który też niewiele zdziałał. Obecni na styczniowym zebraniu (18) 1951 roku członkowie ZP: Jan Zabawa Naczelnik Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego, Franciszek Gawlak inspektor samorządowy, Jan Czamara i Anna Krupińska zastanawiali się, jak ożywić działalność SKRK w Limanowej, ponieważ należał do najsłabiej pracujących na terenie województwa. Jan Zabawa postulował powołanie we wszystkich miejscowościach powiatu kół SKRK, z kolei Franciszek Gawlak sądził, że należało uzgodnić plany radiofonizacji z Radiowęzłem w Limanowej, ostatecznie skończyło się na deklaracjach słownych. Uznano, że jedynym antidotum na kłopoty będzie zwołanie kolejnego zebrania, celem wybrania nowego zarządu, który miał zintensyfikować pracę ZP SKRK w Limanowej. Faktycznie takie zebranie odbyło się w maju 1951 roku, wyłoniono ZP SKRK w składzie: Jan Zabawa przewodniczący – naczelnik UPT, Antoni Miodoński (Wydział Oświaty PRN), sekretarz Kazimierz Czaja (PRN), skarbnik Jan Czamara (PSS „Jedność”). Na wyborze zarządu skończyła się działalność SKRK w Limanowej, co uzasadniano brakiem łączności pomiędzy członkami <sup>7</sup>. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwiła w braku odpowiednich ludzi chcących pracować na rzecz radiofonizacji, stąd częste roszady personalne i zmiany składów zarządów. Dla zmieniających się przewodniczących podobnie jak i członków zarządu były to dodatkowe funkcje i dodatkowe obowiązki częstokroć nie do pogodzenia z wykonywaną pracą zawodową.

Druzgocąca okazała się ocena ZP SKRK w Limanowej sporządzona przez Henryka Kuleszę z ZO SKRK w Krakowie w czerwcu 1951 roku, którą skierował do Prezydium PRN w Limanowej i prezesa ZO SKRK w Krakowie pośła Andrzeja Taborowicza, pełniącego równocześnie funkcję wiceprezesa WRN. Kulesza twierdził, że powiat Limanowa, posiadał do radiofonizowania 50 szkół, wiele świetlic gromadzkich nie posiadających radioodbiorników, a jedyne co posiadał, to instytucję mogącą to dawno rozwiązać. Niestety, zdaniem Kuleszy ZP SKRK w Limanowej w ogóle nie pracował i problemem tym nikt się w powiecie nie interesował. Pisał, że członkowie ZP SKRK mieli tylko jedno zmartwienie, aby przestać być członkami ZP SKRK w Limanowej. Dlatego o planowanym działaniu wspomnianego zarządu nie mogło być mowy, na dodatek nie wykonano planu radiofonizacji za I kwartał 1951 roku.

Zarówno kłopoty organizacyjne, jak i finansowe nie zahamowały postępującej radiofonizacji. Do stycznia 1951 roku na terenie powiatu limanowskiego funkcjonowały dwa koła, jedno w Limanowej liczące 70 członków, w Jodłowniku 7 oraz duże koła szkolne w szkole podstawowej w Laskowej 50 członków i szkole ogólnokształcącej w Ujanowicach 25. Pomimo licznych trudności do lutego 1951 roku na 90 funkcjonujących szkół, 23 przedszkola, 2 domy wczasów dziecięcych radiofonizowano 30 szkół, 4 przedszkola i 1 dom wczasów dziecięcych. 4 szkoły włączono do radiowęzła. Zaplanowano radiofonizowanie 25 szkół aparatami bateryjnymi (Chyszówki, Glisne, Góra Jana, Jaworzna, Jurków, Kasina Wielka II, Kanina, Krasne Lasocice, Lubomierz III, Łostówka, Męcina II, Mszana Górna I, Łętowe, Pólrzeczki, Roztoka, Nowe Rybie, Siekierzyna II, Słopic IV, Stara Wieś II, Szczawa II, Zalesie, Młynne) i 5 szkół aparatami sieciowymi (Raba Niżna, Dobra, Limanowa-przedszkole, Niedźwiedz, Poręba Wielka) <sup>8</sup>. Nie jesteśmy w stanie określić z powodu braku dokumentów, ile z zaplanowanych szkół udało się radiofonizować.

Przedstawiciele Zarządu Okręgowego SKRK w Krakowie wielokrotnie słyszeli – pisał Kulesza – zapewnienia od członków ZP w Limanowej o uaktywnieniu pracy SKRK, ale minęły kolejne miesiące i nie zrobiono nic. Zarząd nie przejawiał nadal żadnej woli działania. Warto się

więc zastanowić nad przyczynami tego stanu rzeczy. Poza możliwościami technicznymi, tzw. „mocami przerobowymi”, główna przyczyna tkwiła przypuszczalnie w wyśrubowanym ponad możliwości ZP SKRK w Limanowej planie, którego ze względów finansowych, sprzętowych i technicznych nie mógł wypełnić, o czym świadczą liczne pisma słane do ZO w Krakowie o dofinansowanie radiofonizacji szkół i osiedli, zakup radioodbiorników. Należy pamiętać, że powiat limanowski należał do najbiedniejszych w całym województwie, a ludność była spauperyzowana. Ani odpisy ze składek członkowskich, ani sprzedaż cegiełek, ani też organizowane imprezy i zbiórki uliczne, nie były w stanie pokryć kosztów radiofonizacji. Trudna sytuacja finansowa legła zapewne u podstaw częstych zmian zarządów i prezesów, widzących nierealność spełnienia nadsyłanych odgórnie planów z Krakowa, który przyczyny zła upatrywał wyłącznie w pracy zarządu.

<sup>1</sup> W. Żytyński, Obrady nad radiofonizacją kraju w Warszawie; L. Czuptyk, Rozwój radiofonizacji przewodowej w Polsce, Biuletyn Informacyjny Społecznego Komitetu Okręgowego Radiofonizacji Kraju w Krakowie z 1 VI 1946, SKRK Kr 4, Archiwum Narodowe w Krakowie (dalej ANK), s.4-9.

<sup>2</sup> Sprawozdanie za miesiąc IX 1947 z działalności Referatu Kultury i Sztuki w Starostwie Powiatowym w Limanowej, UWII-3784, dalej ANK, s. 231.

<sup>3</sup> Protokół z posiedzenia SKRK w Limanowej w dniu 24 II 1949, SKRK Kr 6, ANK.

<sup>4</sup> Protokół z posiedzenia Powiatowego Zarządu SKRK oraz Komitetu Wykonawczego w dniu 25 X 1949 w obecności 11 członków pod przewodnictwem Józefa Podolskiego starosty powiatowego, SKRK Kr 46, ANK.

<sup>5</sup> Sprawozdanie z II Tygodnia Propagandy Radiofonizacji Kraju na terenie powiatu limanowskiego, Limanowa 21 X 1950, SKRK Kr 46, ANK. W skład Komitetu Obchodów II tygodnia Propagandy Radiofonizacji Kraju weszli: Fuchs, Czamara, Stochel, Bieda.

<sup>6</sup> Zestawienie abonentów Radiowęzła w Limanowej korzystających ze sprzedaży ratalnej głośników i instalacji Okręgowego Zarządu SKRK w Krakowie: Zobowiązanie abonenta korzystającego ze sprzedaży ratalnej, SKRK Kr 60, ANK.

<sup>7</sup> A. Krupińska, Sprawozdanie z II Tygodnia Propagandy Radiofonizacji Kraju na terenie powiatu limanowskiego, Limanowa 23e X 1950; Protokół nr 1 z posiedzenia ZP SKRK w Limanowej z dnia 18 I 1951; Sprawozdanie z kontroli działalności ZP SKRK w Limanowej dokonanej w dniu 8 V 1951, SKRK Kr 46, ANK.

<sup>8</sup> H. Kulesza, Uwagi z kontroli PZ SKRK w Limanowej, Kraków 28 VI 1951; Pismo ZP SKRK w Limanowej do ZO SKRK w Krakowie z 15 I 1951 r.; A. Miodoński, Pismo do ZPSKRK w Limanowej z 9 II 95, SKRK Kr 46, ANK.

# Nazywano go „ostatnim malarzem Młodej Polski” Maksymilian Mikołaj Brożek

W bieżącym roku mija 120. rocznica urodzin oraz 40 lat od śmierci znanego w kraju i związanego z Limanową artysty malarza Maksymiliana Mikołaja Brożka.

To znany malarz portrecista, rysownik ludowych strojów, starej architektury, jarmarcznych pejzaży, przydrożnych kaplic, weselnych orszaków. Zajmował się również ilustrowaniem książek (ilustracje do utworów Adama Mickiewicza).

Prace jego znajdują się w kraju i za granicą. Można je podziwiać w Muzeum Lubelskim w Lublinie, Muzeum Historycznym w Sanoku, Muzeum Częstochowskim, Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej w Limanowej, MH-A w Częstochowie, Muzeum Okręgowym w Tarnowie, a także w Muzeum Historyczno – Archeologicznym w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Wiele jego prac znajduje się w prywatnych kolekcjach.

Brożek był również nauczycielem i wychowawcą grona ludzi uzdolnionych plastycznie.

Na stałe w Limanowej osiadł po przejściu na emeryturę w 1964 roku. Zapewne wielu mieszkańców Limanowej pamięta starszego pana, który wspierając się laską wychodził ze swej murowanej willi przy ulicy Kościuszki na zakupy do rynku albo do restauracji z dwójką swoich dzieci, którymi los go obdarzył w starszym wieku. Ożenił się z młodszą od siebie kobietą, jego uczennicą – studentką pochodzącą z Częstochowy.

Maksymilian Brożek urodził się 5 listopada 1897 roku na przedmieściach Tarnowa w Strusinie w rodzinie

Stanisława i Karoliny z domu Dąbrowska. Matka pochodziła ze znanej i cenionej rodziny Dąbrowskich mieszkającej od lat w Limanowej, ojciec był kowalem – artystą. Spod jego młota i kleszczy wychodziły rozmaite kowalskie dzieła. Maksymilian miał siostrę Stanisławę.

Rodzice w osobie Maksymiliana dostrzegli zdolności plastyczne i postanowili kształcić go w tym kierunku. Tak więc kiedy ukończył Szkołę Powszechną, a następnie Wyższą Szkołę Realną w Tarnowie, otrzymał w roku 1916 świadectwo dojrzałości i podjął studia w Akademii Sztuk



Maksymilian Brożek w pracowni.

Pięknych w Krakowie, gdzie w latach 1916 – 1923 uczy się pod okiem Jacka Malczewskiego i Stanisława Dębickiego. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie i zdobył tytuł artysty malarza.

W roku 1928 zdał Egzamin Państwowy z rysunku i malarstwa w Krakowie. Daje mu to możliwość podjęcia pracy w obszarze kultury, sztuki i oświaty. Kończy także Państwowy Instytut Prac Ręcznych w Warszawie w 1930 roku.



Uczestnicy otwarcia wystawy w Sanoku - 1930 rok. Maksymilian Brożek stoi drugi z prawej.



Wystawa sztuki w Sanoku - rok 1930.



Ekspozycje w pracowni artystycznej malarza Maksymiliana Brożka. Pracownia znajdowała się w willi artysty przy ulicy Kościuszki w Limanowej.

Pracę zawodową rozpoczął w roku 1920 w Radomsku w Prywatnym Męskim Gimnazjum Stanisława Niemca. W roku 1923 pracuje w Sulejówku, w roku 1925 wraca do Radomska ponownie do gimnazjum St. Niemca.

W 1929 roku przenosi się do Sanoka i tam podejmuje pracę w miejscowym prywatnym Wyższym Seminarium Nauczycielskim jako nauczyciel rysunku. Okres sanocki jest dla Maksymiliana bardzo twórczy. To tu prawdopodobnie zostaje namalowany jeden z jego lepszych obrazów w oleju: „Anioł prowadzący kobietę dosiadającą konia”. Należy on do awangardy sanockich malarzy takich jak: Leon Getz, ks. Władysław Lutecki, Władysław Lisowski, Józef Sitarz, którzy swoje prace wystawiają w sanockiej galerii.

W roku 1931 rozpoczyna pracę w szkolnictwie w Przemyślu, a w 1935 w Ostrowcu Świętokrzyskim, jako nauczyciel rysunku, najpierw w Seminarium Nauczycielskim im. Tadeusza Kościuszki, a potem w Państwowym Gimnazjum i Liceum Męskim im. Joachima Chreptowicza. Przebywając w tym mieście, Brożek aktywnie włącza się w działalność Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Grupa ludzi związana z tą organizacją w 1936 roku urządziła w Ostrowcu pierwszą wystawę plastyki, na której m.in. obrazy wystawił Maksymilian Brożek.

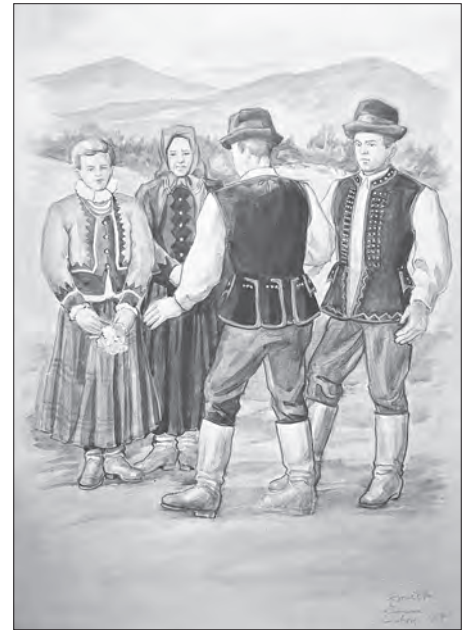
Przed II wojną światową w roku 1939 artysta przebywał w Lublinie i tam wykonał serię szkiców, akwarel i grafik przedstawiających panoramy Lublina oraz poszczególne budowle: Bramę Krakowską,

Bramę Grodzką, Zamek i wybrane kościoły. Wiadomo, że tuż przed wojną Maksymilian Brożek wydał tekę autolitozgrafii z lubelskimi zabytkami. Niestety podczas okupacji niemieckiej jej nakład zaginął, jedynie kilka próbných odbitek zachował dzierżawca drukarni, w której je wykonano.

Podczas okupacji hitlerowskiej pojawia się w Limanowej, w rodzinnym mieście swojej matki. Zatrudnia się jako projektant zabawek drewnianych, które są ubocznym produktem z odpadów drewnianych w fabryce beczek Juliana Fischera w Sowlinach. Tak ten okres wspomina p. Stefania Florek: *Maksymilian Brożek* ▶



Maksymilian Brożek wśród uczniów w czasie wystawy w Limanowej.



Prace Maksymiliana Brożka







*w życiu moim jak i wielu innych dziewcząt odegrał istotną rolę w okresie okupacji niemieckiej. Po skończeniu szkoły podstawowej pracowałam w „zabawkarni” w Sowlinach. Pan Brożek był naszym szefem bardzo wymagającym, wyglądał groźnie. Początkowo baliśmy się go, bo i niewiele umieliśmy robić, a zabawki z drewna nie były takie łatwe. Później p. Brożek okazał się dobrym człowiekiem. Z czasem przeszedłam na malowanie zabawek i było nawet przyjemnie. Starszych, szczególnie chłopców, p. Fischer prznosił do bednarni i tak przetrwaliśmy do końca wojny, chociaż bywało i groźnie. Po wojnie mój szef z „zabawkarni” został profesorem rysunków w Liceum.*

W czasie okupacji zmarli jego rodzice: matka Karolina w listopadzie 1939 roku, a ojciec Stanisław, w grudniu 1943 roku.

Maksymilian Brożek w 1945 r. podjął pracę jako nauczyciel rysunku w Prywatnym Miejskim Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym w Limanowej, które powstało na bazie tajnego nauczania. Zajęcia dydaktyczne rozpoczęły się 26 lutego w budynku Szkoły Powszechnej w Limanowej (dzisiaj ZSS nr 1), a od czerwca tegoż roku szkołę przeniesiono do budynku w Sowlinach, który wydzierżawiono od Rafinerii Nafty.

W limanowskim liceum Brożek uczył zaledwie rok. W 1946 roku powraca do Ostrowca Świętokrzyskiego i ponownie podejmuje pracę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Chreptowicza, gdzie uczył rysunku i zajęć technicznych. Na przełomie roku 1949/50 przenosi się do Częstochowy i pracuje równolegle w dwóch szkołach: Liceum im. Romualda

Traugutta i Liceum i Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Był również nauczycielem malarstwa w Zespole Szkół Plastycznych w Częstochowie. W mieście tym z inicjatywy prof. Maksymiliana Brożka powstaje grupa malarzy „AGA”, gdzie skupia się wielu zdolnych artystów. Tu poznaje przyszłą żonę Krystynę, z którą ma dwojkę dzieci: Artura i Izabelę Edytę.

W Limanowej bywał w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, o czym świadczą jego obrazy i grafiki, najczęściej datowane na 1955 rok. Po przejściu zaś na emeryturę na początku lat sześćdziesiątych tegoż wieku, z całą rodziną na stałe przenosi się do Limanowej i zamieszkuje w rodzinnym domu matki przy ulicy Kościuszki.

Brożek uprawiał głównie techniki malarskie i graficzne: rysunki, gwasz,



Rodzinny grobowiec Brożków na cmentarzu parafialnym w Limanowej. Fot. St. Ociepka

akwarele, malarstwo olejne, drzeworyt, litografie. Przede wszystkim był portrecistą, ale nie stronił od pejzaży, scen rodzajowych, alegorycznych, kompozycji figuralnych, fantasmagorii, scen mitologicznych, studiów roślin i postaci. Opracowywał projekty witraży i ilustracje do książek. Bardzo ciekawe są jego drzeworyty, działające mocnym kontrastem czerni i bieli, gdzie z głębokiego mroku cienkimi białymi liniami wydobywa kontury prezentowanego elementu.

W willi, w której zamieszkał z rodziną, znajdowała się zarówno jego pracownia jak i galeria obrazów. Wielki sympatyk twórczości Brożka, prof. Józef Staniszewski, nauczyciel limanowskiego liceum, fotografik utrwalił jego prace na kliszy. Dlatego współcześnie możemy Czytelnikom naszego dwumiesięcznika przedstawić reprodukcje mniej znanych jego prac.

Maksymilian Brożek włączył się aktywnie w rozwój kultury limanowskiej. To w domu malarza zmagazynowany był zasób eksponatów zebranych przez działający w okresie powojennym limanowski oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Zbiór ten stał się podstawą do powołania placówki muzeum w Limanowej. Kiedy 26 maja 1970 roku ówczesny Minister Kultury i sztuki oraz poseł z Ziemi Limanowskiej Lucjan Motyka uroczyście otworzył Muzeum Ziemi Limanowskiej w skład „Rady Muzeum” powołano Maksymiliana Brożka. Oprócz artysty w „Radzie” zasiadali: Tadeusz Ociepka oraz Piotr Orzechowski (przewodniczący), Józef Staniszewski, Walenty Gawron, Andrzej Gibas i Jan Wielek.

W początkowym okresie pracą Muzeum kierowała „Rada”. Każdy z członków „Rady” miał konkretne przydzielone zadanie. Maksymilian Brożek pełnił społecznie dyżury, oprowadzając zwiedzających, szczególnie wycieczki młodzieży szkolnej.

Artysta zmarł 12 kwietnia 1977 roku w Limanowej i tu spoczął w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym.

Obecnie w limanowskim muzeum można oglądać niewiele prac tego artysty, który z naszym miastem związany był przez pochodzenie matki z domu Dąbrowska.

Limanowa uhonorowała artystę, nadając nazwę Maksymiliana Brożka jednej z ulic miasta.

**Fotografie: arch. NAC,  
Reprodukcje prac M. Brożka:  
Józef Staniszewski**

# W cieniu Mogielicy

## Rocznicowe spotkanie SRH 1. PSP AK

W poprzednim numerze „Echa” została opisana działalność Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK – grupy pasjonatów, zajmujących się ożywianiem historii walk toczonych przez oddziały Armii Krajowej w czasach II wojny światowej, w rejonie Mogielicy. Członkowie stowarzyszenia istnieją w „jej cieniu”, dziesiątki razy wędrowali jej ścieżkami, po śladach partyzantów, dla których las porastający zbrocza góry był drugim domem...

Po siedemdziesięciu latach „powrócili” do Słopnic, gdzie w siedzibie gminnej biblioteki 18 lutego br. obchodzili pięciolecie działalności.



### Wspomnienia

Skromna uroczystość stała się okazją do podsumowania 5. lat istnienia. Członkowie stowarzyszenia oraz zaproszeni goście dzielili się wspomnieniami, ukazującymi różne formy działalności. Wypowiedzi ilustrował pokaz zdjęć, na których utrwalono najważniejsze momenty; Rajd Szlakami Żołnierzy 1. PSP AK i Rajd Cichociemnych organizowane dla młodzieży wspólnie z IPN, powstawanie przy współpracy z władzami gminnymi oraz Nadleśnictwem Limanowa Ścieżki Historyczno – Edukacyjnej 1. PSP AK im. kpt. Juliana Krzewickiego na terenie gmin Słopnicze i Tymbark, organizowanie inscenizacji zrzutów alianckich na Polankach Szczawskich

oraz na Dzielcu, prelekcje i prezentacje dla młodzieży, promocje filmów historycznych oraz publikacji, gromadzenie dokumentów i relacji na temat 1. PSP AK, udział w rekonstrukcjach historycznych na terenie południowej Polski.

Rocznica zgromadziła wiele zaprzyjaźnionych z grupą osób, współpracujących przy organizacji imprez historycznych. „**Szlaki pasjonatów historii przecinają się w Słopnicach**” – z dumą mówił wójt gminy Słopnicze Adam Sołtys. Przybyli m.in. współorganizatorzy zrzutów alianckich: mjr pil. Stefan Gładys wiceprezes Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP oddział Kraków, prezes Stowarzyszenia Lotnictwa Eksperymentalnego EAA 991 Jerzy

Kołodziej, prezes Krakowskiego Klubu Seniorów Lotnictwa RP Leszek Mańkowski. Z okazji pięciolecia podarowali gospodarzom Statuetkę SSLW RP „Nike” i publikację autorstwa K. Mroczkowskiego „Trzy bez atu z... Polandem”, poświęconą zbiorom Muzeum Lotnictwa Polskiego. O współpracy z IPN mówił pracownik krakowskiego oddziału dr Dawid Golik. Obecni byli również: Jarosław Oleksy, który służył pomocą w przygotowaniu ścieżki partyzanckiej, Jerzy Wójcik – autor publikacji historycznych, Zbigniew Jarosz – nauczyciel historii oraz współorganizator Rajdu Szlakami Żołnierzy 1. PSP AK w Mszanie Górnej, Paweł Terebka – prezes PTH Nowy Sącz, harcerze z Krakowskiej Drużyny Wędrowców „Orkan” oraz przedstawiciele Radia RDN i prasy lokalnej. Przyjaciele stowarzyszenia otrzymali od organizatorów statuetki w formie drzeworytów oraz dyplomy.

### Szlaki pasjonatów historii prowadzą do... Słopnic

„Współpraca z SRH 1. PSP AK rozpoczęła się od organizacji Rajdu Szlakami Żołnierzy 1. PSP AK dla młodzieży oraz poszukiwania materiałów źródłowych, dotyczących działalności oddziałów partyzanckich” – mówi wójt gminy Słopnicze Adam Sołtys, przyjaciel stowarzyszenia. „Ich zbieraniem zajmował się Przemysław Bukowiec, nauczyciel historii w tutejszym gimnazjum. Zgromadził imponującą ilość relacji, zdjęć i dokumentów. Wtedy też narodził się pomysł stworzenia Ścieżki Historyczno – Edukacyjnej 1. PSP AK im. kpt. Juliana Krzewickiego, prowadzącej szlakami Mogielicy i Dzielca. Moja rola polegała na zapewnieniu środków finansowych. Jestem pod ogromnym wrażeniem jej wartości merytorycznej. W atrakcyjnej formie, poprzez tablice i obeliski zostały upamiętnione miejsca i postacie związane z działalnością AK. Ścieżka służy edukacji młodzieży. Jest też miejscem organizowania różnych imprez, z których największą popularnością cieszą się inscenizacje zrzutów na Dzielcu”.

Zdaniem Adama Sołtysa, w Słopnicach, siedzibie stowarzyszenia, przecinają się

szlaki pasjonatów historii. Działalność grupy wspierają nie tylko władze gminy, ale również mieszkańcy, którzy pomagali w zbieraniu relacji i materiałów do realizacji ścieżki partyzanckiej. W sierpniu br. zostanie otwarta część szlaku tejże ścieżki, gdzie zlokalizowano autentyczny obóz partyzancki. W tym miejscu zostaną przeprowadzone prace eksploracyjne, a odnalezione tam eksponaty wzbogacą

zbiory przyszłej Izby Pamięci. Będzie ona stanowić kolejną atrakcję ścieżki partyzanckiej. Na jej siedzibę przeznaczono budynek znajdujący się w sąsiedztwie pomnika „Partyzantom 1938 – 1945” w Słopicach Górnych. „Zgromadzone zbiory pokażą piękną kartę historii Słopic. Upamiętnią postacie przodków, którzy w czasach okupacji potrafili zachować godność. Bezcenne jest, że przedstawią

także codzienność życia partyzanckiego i jego trudy” – podsumowuje Adam Sołtys.

Redakcja „Echa” życzy Stowarzyszeniu oraz jego Przyjaciołom kolejnych pięciu lat współpracy oraz radości czerpanej ze wspólnych pasji.

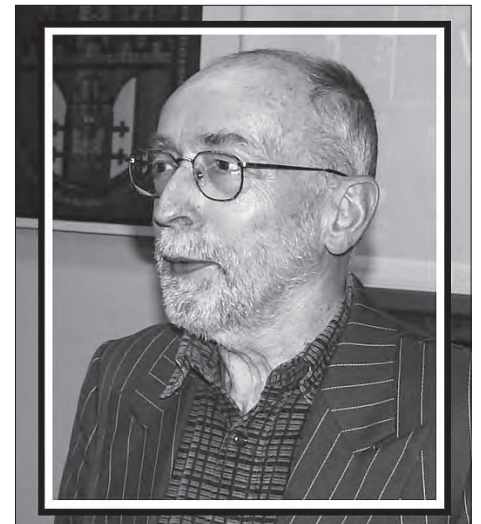
**Ilona Machowicz-Jurowicz**  
Fotografie: Jakub Kmiecik

# Jerzy Kołodziejczyk <sup>1</sup>, reżyser i jego związki z Limanową

*Non omnis moriar Horacy (68-8 p.n.e.), Ody*

[„Byli chłopcy byli, ale się minęli.], I my się miniemy po maluśkiej chwili, hej! po maluśkiej chwili”. Tymi śpiewanymi, wzruszającymi słowami rozpoczął pożegnalne kazanie ks. prał. Władysław Zązel, kapelan Górali Żywieckich na Mszy pogrzebowej za duszę śp. Jerzego Kołodziejczyka, wygłoszone 4 marca 2017 r. w przepięknym drewnianym kościółku w Mikuszowicach Krakowskich, dzielnicy Bielska-Białej. Dla nas członków rodziny trudno pogodzić się z myślą, że Jurek już się minął i nie ma go pośród nas. Był silnie związany z górami i góralszczyzną. Był nawet członkiem Związku Górali Żywieckich, dlatego górale wraz ze swoim kapelanem przyjechali, by go godnie pożegnać, jak przystało.

Ukochał też Beskid Wyspowy, przeszedł jego szlaki wzdłuż i wszerz (wielokrotnie był na Mogielicy, najwyższym szczycie Beskidu Wyspowego) <sup>2</sup>. Jak tylko miał wolny czas, lubił przyjeżdżać i odwiedzać krewnych w Limanowej <sup>3</sup>. Stąd organizował dłuższe i krótsze wycieczki, także na Krzyż na Miejskiej Górze. Wybierał wówczas najtrudniejszą trasę, dlatego nasze córki Jadzia i Kasia nazwały ją żartobliwie „Percią wujka Jurka”. Pomysł i realizację umieszczenia „Krzyża na Miejskiej Górze na granicy Wieków” uważał za jedno z bardziej udanych realizacji ostatnich lat w Limanowej, bowiem dzięki krzyżowi owa góra stała się szczególną Górą Modlitwy i Wiary. W osobistej rozmowie ze mną [J.Sz.W] powiedział następujące słowa, które



Jerzy Kołodziejczyk (1941-2017) Fot. <http://karpaccy.pl>



Jerzy Kołodziejczyk - reżyser na planie zdjęciowym.

głęboko zapadły mi w pamięci: „Krzyż na Miejskiej Górze zakreslił nowe granice miasta. Poprzez krzyż Limanowa stała się przeto znacznie większa i bardziej atrakcyjna”. Chciał spotkać się z twórcami i projektantem Krzyża arch. Leszkiem W. Pilawskim i takie spotkanie udało się zaaranżować, co w rezultacie zaowocowało nakręceniem filmu: *Jeno pod Krzyżem*. „Nie byłoby Krzyża na Miejskiej Górze w Limanowej – czytamy w promocyjnych słowach filmu – gdyby nie głęboka wiara mieszkańców Ziemi Limanowskiej. Film opowiada nie tylko drogę krzyża-pomnika dwudziestu wieków chrześcijaństwa z historycznym przejazdem Jana Pawła II przez Limanową, podczas którego pobłogosławił on ten krzyż, ale mówi również o niektórych innych krzyżach w Limanowej i próbuje ►

► scharakteryzować ducha religijnego tujejszych ludzi – to hołd złożony wierze”<sup>4</sup>. I trudno nie zgodzić się z tą trafną niemal teologiczną konkluzją.

Podczas swoich pobytów w Limanowej Jurek spotykał się z ks. prał. Józefem Porębą. Jako twórca pięknego cyklu o Madonnach Polskich, dwa odcinki poświęcił Limanowskiej Pani. Był człowiekiem bardzo wrażliwym, zachwycał się pięknem architektury kościoła limanowskiego i umiał ją docenić. Spotykał się także z ks. prał. Janem Bukowcem. Wielkie wrażenie zrobiło na nim wnętrze kościoła w Limanowej-Sowlinach, gdy późnym popołudniem wchodząc do środka świątyni, nagle zauważył zlewające się z świetlika górną – boczne po białych stropościanach niebieskie światło; tak jakby niebo schodziło do świątyni. To go zachwyciło. Odwiedzał Limanową nie tylko, gdy kręcił filmy, ale też gdy tylko miał czas, bowiem lubił to miasto. Wielką czcią otaczał Matkę Boską Limanowską, której poświęcił artykuł opublikowany w „Mater Dolorosa”<sup>5</sup>. Wierzył bowiem, że Matka Boska Limanowska uratowała go, gdy miał wypadek rowerowy, wracając ze Starego Sącza do Limanowej. Był zasłużonym dla kultury Ziemi Limanowskiej, spotykał się z wieloma ludźmi z tego terenu, między innymi z prezesem i członkami Związku Limanowian, ale także ks. Janem Zającem z Ośrodka Rekolekcyjnego na Śnieżnicy, jak również z redaktorem Janem Urygą, autorem niezliczonych artykułów nie tylko o Limanowej i Limanowszczyźnie. Temu regionowi poświęcił szereg pięknych i głębokich filmów. Na przykład w filmie *Najpiękniejsze kościółki drewniane Małopolski* ukazał jeden z uroczych kościółków powiatu limanowskiego, mianowicie kościół pw. św. Szymona i Judy Tadeusza Apostoła w Dobrej koło Limanowej.

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale to powiedzenie nie jest do końca prawdziwe. Bardzo nam będzie Jurka brakowało, jego trafnych spostrzeżeń i powiedzeń, pięknych zdjęć, które wykonywał przy różnych okazjach i uroczystościach. To on właśnie wykonał wszystkie zdjęcia do cyklu artykułów opublikowanych na łamach „Echa Limanowskiego” o kościółkach drewnianych na Limanowszczyźnie<sup>6</sup> oraz niemal wszystkie ilustracje do cyklu: „Architektura i urbanistyka Limanowej”, autorstwa Józefa Szymona Wrońskiego,



Jedno z wielu zdjęć wykonanych przez Jerzego Kołodziejczyka w Limanowej, które prezentowane były na łamach „Echa Limanowskiego”.

opublikowanym w kwartalniku „Almanach Ziemi Limanowskiej”<sup>7</sup>. Szereg artykułów opublikowanych w „Echu Limanowskim” (np. o pomniku 100-LECIA Powstania Listopadowego i Nieznanego Żołnierza<sup>8</sup>) i wielu jeszcze innych, nie tylko autorstwa J.Sz. Wrońskiego, ale także redaktora Stanisława Ociepki<sup>8</sup>, ilustrowanych było zdjęciami Jerzego Kołodziejczyka.

Starożytni powiadali: *Non omnis moriar*. Tak, bo Jurek pozostanie w naszej pamięci, w swoich pięknych głębokich i humanitarnych filmach. Był wrażliwy na otaczający nas i przemijający świat. Swoją zachwyty nad architekturą starych kościółków zawarł w pięknym cyklu: *Kościółki drewniane*. Był wielkim indywidualistą, ale szanował też indywidualność drugiego człowieka i nie narzucał swoich poglądów. Też w życiu codziennym potrafił uszanować czyjś gust, smak. Jedną z jego bratanic Ksenia opowiadała nam, że gdy piekł ciasto (a był w tym mistrzem), to jedną część ciasta z borówkami wypełniał jabłkami, gdyż ona nie lubiła borówek. To też ważna strona i miara człowieczeństwa. Na przyjęciu pożegnalnym po pogrzebie, przygotowanym przez brata Jacka z żoną Wiesławą mogliśmy spotkać się z Rodziną Zmarłego (z bratem Jackiem i jego żoną, siostrą Urszulą Chęcińską oraz bratem Januszem z żoną Haliną i ich Rodzinami), przyjaciółmi i wielbicielami jego talentu. Snując wspomnienia, wracaliśmy myślami raz jeszcze do jego twórczości, bogatej spuścizny i jego

marzeń. W jednej z rozmów powiedział mi [J.Sz.W]: „Jedynym marzeniem moim jest, bym na starość mógł chodzić po górach”. Niestety, nie do końca było mu to dane.

Żegnaj Jurku – kuzynie i przyjacielu, ale i „Przyjacielu Miasta Limanowa” – bo część swojego talentu pozostawiłeś również w tym beskidzkim mieście, które Cię „zachwycało do pracy, a praca, by się zmartwychwstało”.

**Elżbieta i Józef Wrońscy**

<sup>1</sup> Ukończył Szkołę Filmową w Łodzi, ale wcześniej był absolwentem anglistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

<sup>2</sup> Także z niżej podpisanym i kilkoma jeszcze limanowiankami i limanowianami.

<sup>3</sup> Był kuzynem żony Józefa Szymona Wrońskiego, Elżbiety Jałoszewskiej-Wrońskiej.

<sup>4</sup> To słowa zamieszczone na okładce kasyety filmu: realizacja – Jerzy Kołodziejczyk, produkcja – Związek Limanowian – Społeczny Komitet Budowy Krzyża na Miejskiej Górze w Limanowej 1999 r.

<sup>5</sup> J. Kołodziejczyk, *Czy czuwała nade mną Limanowska Pani?*, „Mater Dolorosa”, R.XIX: 1996, nr 1, s. 34-37.

<sup>6</sup> Józef Szymon Wroński, *Na szlakach drewnianych kościołów Limanowszczyzny*, „Echo Limanowskie” (dalej: EL), cz. 1, nr 89/90 (Rok IX) Grudzień-Styczeń 2001/2002, s. 22-23; cz. 2, EL, nr 91 (Rok X) Styczeń/Luty 2002, s. 20-21; cz. 3, EL, nr 92 (Rok X) Luty/Marzec 2002, s. 20-21; cz. 4, EL, nr 93 (Rok X) Marzec/Kwiecień 2002, s. 22-23; cz. 5, EL, nr 94 (Rok X) Maj 2002, s. 20-21; cz. 6, EL, nr 95 (Rok X) Czerwiec 2002, s. 20-21; cz. [7] Zakończenie, EL, nr 96-97 (Rok X) Lipiec-Sierpień 2002, s. 22-24.

<sup>7</sup> Józef Szymon Wroński, *Architektura i urbanistyka Limanowej. Zarys – wybrane przykłady*, AZL, R. IV, nr 14 – Jesień 2003, s. 20-24; *Architektura i urbanistyka Limanowej. Zarys – wybrane przykłady*, cz. II, okres międzywojenny, AZL, nr 15/2003/2004, s. 14-18; *Architektura i urbanistyka Limanowej, Zarys – wybrane przykłady*, cz. III, *Architektura dworowa* („styl” dworowy), AZL, R. V, nr 16/2004, s. 20-24; *Architektura i urbanistyka Limanowej*, cz. IV „Styl” zakopiański i jego pochodne, AZL, nr 17/2004, s. 24-28; *Architektura i urbanistyka Limanowej*, cz. V *Cmentarze z I wojny światowej*, AZL, nr 18/2004, s. 36-41; *Architektura i urbanistyka Limanowej. Zarys – wybrane przykłady*, cz. VI *Sowliny: legenda – historia; układ przestrzenny – zabudowa*, AZL, nr 19/2004/2005, s. 23-27; *Architektura i urbanistyka Limanowej*, cz. VII *Sowliny: Rafineria nafty – osiedle rafineryjne*, AZL nr 20/2005, s. 18-21; *Architektura i urbanistyka Limanowej*, cz. VIII, *Sowliny: Rafineria nafty – osiedle rafineryjne (2)*, AZL nr 21/2005, s. 16-20; *Architektura i urbanistyka Limanowej*, cz. IX *Willa „Zacisze” – rodzinna siedziba Reymanów-Piławskich*, AZL nr 22/23:2005, s. 18-21.

<sup>8</sup> *Raport zdjęciowy*, Stanisław Ociepka; Józef Szymon Wroński, *Pomnik powraca na swoje miejsce*, EL, nr 236 – 237 (Rok XXII) Maj-Czerwiec 2014, s. 3-4.

# Limanowskie potoki

Stanisław Ociepka

Limanowa, położona w kotlinie górskiej Beskidu Wyspowego u zbiegu potoków: Mordarka, Jabłonec i Starowiejskiego, które łączą się w Sowlinkę, dopływ rzeki Łososina, stale zagrożona była powodzią.

Z natury te górskie potoki usytuowane wśród pięknej dzikiej natury są niewielkie i niegroźne, ale zawsze budziły respekt, bowiem przy intensywnych opadach deszczu przybierały na mocy i z potężną siłą niszczyły wszystko to, co napotkały na swojej drodze.

Przed II wojną światową żaden z wymienionych potoków nie był uregulowany.

Były to czyste górskie potoki, które toczyły swój spieniony nurt po kamiennym dnie, gdzie pływały: strzeble, klenie, brzanki, jelce i wiele innych gatunków ryb.

W pobliżu brzegów spotykało się wiele powalonych pni drzew i gęstwiny chaszczki, szczególnie w rejonie „Siwego Brzegu” na Potoku Starowiejskim, czy powyżej drewnianego mostu na potoku Mordarka lub w obrębie ogrodu Marsów na Potoku Jabłonieckim.

Nieprzebyte gęstwiny olch, wierzby i wikliny powodowały, iż przebrnąć przez nie było bardzo ciężko. Podmokłe tereny broniły baldachimy łopianów i paproci. Chcąc przejść wzdłuż potoku, należało pokonać przeszkody lub szukać wydeptanych ścieżek.

Na przestrzeni kilkudziesięciu lat potoki te zostały uregulowane w obrębie Limanowej i stały się jedynym miejscem wypoczynku dla mieszkańców miasta, gdzie były baseny kąpielowe, czy zalew rekreacyjny.

W tamtych czasach limanowskie potoki były czyste i dobrze zagospodarowane, jak jest dzisiaj widzimy wszyscy.

Warto więc wrócić do przeszłości i opowiedzieć o historii ich zagospodarowania.

## Potok Mordarka

Wypływa z południowo – zachodnich stoków Sałasza Zachodniego i Wschodniego w Paśmie Łososieńskim. Najwyżej położone źródło znajduje się na wysokości 760 m w obrębie miejscowości Mordarka. Spływa przez tę wieś w południowym kierunku, pomiędzy wzniesieniem Łysej Góry i Dzielca. Po opuszczeniu Pasma Łososieńskiego łukowato zakręca na południowy zachód, wpływa do Limanowej i płynie przez jej centrum, aby ujść do rzeki Sowlinki w pobliżu limanowskich cmentarzy.



Uregulowany potok Mordarka powyżej mostu przy ulicy Targowej. W głębi zapora przeciwrumszowa pod Marcinkiewiczem. Lata pięćdziesiąte XX wieku.

Jest to potok przepływający przez gęsto zaludnione tereny. W przeszłości wzdłuż jego nurtu był plac rekreacyjny gniazda limanowskiego „Sokoła”, na którym były: boiska, korty tenisowe, kręgielnia. Obecnie mieści się tu plac targowy, zaś w dolnym jego biegu w latach 30. w miejskich ogrodach wybudowano szkołę powszechną (dzisiaj ZSS nr 1).

Przed jego uregulowaniem płynął przez rozległy kamieniec, gdzie znajdowało się wiele jarów z bogatą fauną bowiem woda w potoku była krystalicznie czysta.

Jego regulacja następowała etapami pierwsze prace podjęto w roku 1935 Kiedy powódź stulecia (1934 r.) zniszczyła jedyny

wówczas plac rekreacyjny w Limanowej tzw. „Dołek” wówczas przy drewnianym moście obok „Targowicy” (okolice dworca PKS) wybudowano zabezpieczenie przeciwrumszowe w postaci zapory.

Strategicznym miejscem na tym potoku był jedyny wówczas most, przez który prowadziła droga z centrum miasta do Sowlin, z Nowego Sącza do Krakowa.

Jak ważny był to most komunikacyjny przekonali się mieszkańcy Limanowej, kiedy podczas powodzi w roku 1934 zostali odcięci od świata, gdy runął on pod naporem rozszalałego potoku.

Korespondent „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” tak wówczas relacjonował to wydarzenie: *Przyszła nagle, tak nagle, że właściwie nikt jej się nie spodziewał. Przyszła ta katastrofa w momencie szczególnie krytycznym, albowiem w okresie żniw i masowego pobytu letników z całej Polski na Podhalu i w podgórskich okolicach województwa krakowskiego.*

*Powódź jakiej od 100 lat z górą nie pamiętają: Nowy Sącz, Limanowa, Krynica, Zakopane, Nowy Targ, Tarnów, Ropczyce, Gorlice, Jasło i inne odcięte od świata miejscowości.*

*(...) Most drewniany przy ul. Beka (dzisiaj Jana Pawła II – przyp. red.), około godziny siódmej rano z hukiem wyłamując drugie przęsło runął w rozszalały nurt potoku Mordarka. Wraz z zerwaniem mostu przerwany został kabel doprowadzający prąd z pobliskiej Rafinerii. Limanowa pozbawiona została światła elektrycznego.*

Powódź poważnie zagroziła nowo budowanej z trudem przez kilka lat szkole. Tak więc prace przy jej budowie zostały na pewien okres wstrzymane.

W Limanowej wówczas na szczeblu powiatowym powstał Komitet Pomocy Ofiarom Powodzi, którym kierował Ludwik Malkowski – starosta limanowski, skarbnikiem był Zdzisław Bączkowski, a sekretarzem Marcin Dąbrowski.

To wtedy przeznaczono znaczne fundusze finansowe na częściową regulację potoku Mordarka na wysokości placu „Dołka”. Most zaś przy ulicy Beka odbudowali żołnierze. Na pamiątkę tego wydarzenia została w ścianę oporową wmurowana tablica informacyjna.

O tej powodzi pisałem w artykule zatytułowanym „Wielka woda – 1934 rok” („EL” nr 236-237, maj – czerwiec, 2014 r.).

Jedynymi śladami po tej powodzi są archiwalne fotografie oraz pamiątkowa tablica, która znajduje się na murze oporowym po stronie prawej, idąc wzdłuż potoku Mordarka w kierunku bulwarów (ul. Kusocińskiego). Warto więc zwrócić uwagę na niszczącą tablicę, która ma 83 lata i zawiera informację: *Most ten wybudowała 3. Kompania 4. Baonu Saperów I Oddz. Pion. 2. Dywizji Piech. Leg. Sierpień – Wrzesień 1934 r.* (chodzi o nieistniejący już most drewniany – przyp. red.).



Kamieniste korytu Potoku Mordarka poniżej mostu przy ulicy Targowej - przed 1942 r.

Niestety w latach międzywojennych potok ten ze względów finansowych nie doczekał się regulacji. Dopiero w czasie okupacji hitlerowskiej na przełomie lat 1941 – 42, według projektu inż. Mariana Przetockiego (był skoligacony z rodziną Marsów), podjęto prace regulujące potok na długości około 200 m od placu „Sokoła” do ulicy Zielonej.

Prace ziemne przy regulacji potoku wykonywali Żydzi, zaś koryta potoku kamieniami wykładali Polacy

W roku 1942 następuje eksterminacja Żydów i dalsze prace przy regulacji potoku zostają przerwane, tym bardziej, iż w tym rejonie powstaje getto.

Po wojnie dokończono regulację pozostałej części potoku w dolnym jego biegu. Wybudowano zbiornik przeciwpożarowy na wysokości ulicy Zielonej oraz uregulowano pozostały odcinek potoku, który zakończono progiem wodnym na wysokości domu Molów. Od tego miejsca do połączenia się potoku Mordarka z Potokiem Starowiejskim regulację przeprowadzono w latach późniejszych.

Powracamy w rejon mostu drewnianego przy placu „Sokoła”, powyżej którego bieg potoku Mordarka miał najbardziej romantyczny charakter. To właśnie w tej okolicy wielu mieszkańców Limanowej odpoczywało na polanie pod tamą, jak się wówczas mówiło, Marcinkiewicza. Dla dzieci zaś była to kraina szczęśliwości, gdzie mogły się bać w lecie w gęstych zaroślach i kąpać w „małym” basenie powyżej mostu lub

pod Kwiecińskim. Starsi zaś doznawali przyjemności kąpieli w basenie poniżej mostu, gdzie woda była spiętrzana przez zamykanie niecki szandorami, a wzdłuż koryta potoku po jego obu stronach była aleja pięknych białych robinii. W latach pięćdziesiątych XX wieku tereny te miały charakter zielony, nie istniała jeszcze droga wzdłuż potoku tzw. bulwary, a most był tylko przeprawą na plac skupu zwierząt „Targowicę” i do miejskiej rzeźni. W rejonie obecnej ulicy Kopernika były prywatne pola i ogrody.

Regulację tej części potoku Mordarka wykonano w początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, budując dwie zapory przeciwrumszowe: wspomniana tama pod Marcinkiewiczem oraz pod Bodzionym na zakolu obok domu Wronów. Uregulowano również bieg potoku, wykonując baseniki zakończone progami.

Pod koniec lat pięćdziesiątych XX w., kiedy rozpoczęto budowę kinoteatru, teren na wysokości mostu zaczął się zmieniać. Ziemia pochodząca z wykopów długo oczekiwanego obiektu kultury wywożona była furmankami i wagonikami na szynach w pobliżu mostu. Wtedy to wykonany został zjazd wzdłuż „Dołka”, bulwary oraz powstały tzw. „kocie” planty.

Współcześnie teren ten całkowicie zmienił się. W miejscu „kocich plant” powstało rondo; „Dołek”, kiedyś miejsce rekreacji, został przeznaczony na plac targowy. Przez ogrody i pola prywatne



Regulacja potoku Mordarka po powodzi stulecia w 1934 r. na wysokości placu sportowego „Sokoła”. W głębi zabudowania kręgielni - 1935 rok.



Zabawa na kamieńcu - rzeczny rozlewisko na potoku Mordarka w pobliżu ulicy Zielonej - 1941 rok.



Powyżej: Po wielkiej powodzi na potoku Mordarka w 1934 roku prace wykonują żołnierze. Obok: Tablica pamiątkowa na murze oporowym przyczółka mostowego.



Końcowe prace budowy drewnianego mostu. Z prawej zniszczony przez powódź budynek dawnej poczty.



Brygada kamieniarzy wykonujących prace regulacyjne potoku Mordarka - 1941 rok.



Uregulowane koryto potoku Mordarka przy bulwarach. Wzdłuż potoku aleja robinii. Lata sześćdziesiąte XX wieku.

poprowadzono drogę, ulicę Kopernika; zniknął plac sprzedaży zwierząt „Targowica” i murowana kapliczka stojąca tuż obok pod dwoma wielkimi lipami, gdzie powstał dworzec PKS, którego obecnie także nie ma. Zniknęła miejska rzeźnia. Regulacja potoku na tej wysokości została zmieniona na paskudne kamienne koryto. Pozostały jedynie dwie zapory przeciwrumszowe. Tak długo oczekiwany przez społeczeństwo limanowskie kinoteatr, zmienił swoje przeznaczenie na miejsce handlu. Pozostały jedynie przed budynkiem piękne kute latarnie projektu Tadeusza Ociepki, znanego plastyka w Limanowej. Powrócił na swoje pierwotne miejsce pomnik Nieznanego Żołnierza wystawiony w tym miejscu przez patriotów związanych z gniazdem „Sokoła”, na pamiątkę 100. rocznicy Powstania Listopadowego.

Można by wiele wspominać i opisywać wydarzenia związane z tym urokliwym zakątkiem Limanowej, przez który przepływa potok Mordarka, wspomnę tylko dwa epizody.

Tajemnicze tereny, przy potoku Mordarka zawsze dla chłopców z „Kamieńca” były miejscem ciekawych zabaw. Pamiętam jak na początku marca 1958 roku, kiedy była piękna słoneczna pogoda, grupa dziesięcioletnich chłopców pobiegła łowić na „rękę” ryby pod „Kwiecińskiego”, tak wówczas nazywaliśmy basen znajdujący się poniżej domu p. Kwiecińskich przy ul. Orkana (Dzisiaj ul. M. B. B.).

Było bardzo ciepło, w pewnej chwili któryś z nas wydał komendę – kąpiemy się. Wszyscy z zapałem wykonaliśmy polecenie i zaczęliśmy pływać. Zauważył nas starszy pan mieszkający powyżej baseniku, który zszedł na dół. Wymachując laską, zaczął krzyczeć: *Wszystkich was znam, wychodźcie z zimnej wody, będziecie chorować, zaraz pójdę do waszych rodziców.*

Usłyszawszy krzyk starszego pana wszyscy wyskoczyliśmy z zimnej wody, trzęsąc się chwyciliśmy za ubrania i wzdłuż zarośli uciekliśmy każdy w kierunku własnego domu. Na szczęście pan nie zjawił się u rodziców, a my nawet nie chorowaliśmy, jedynie mieliśmy lekki katar.

Panią Michalinę Kurtycz w Limanowej znał każdy. Była jedną z niewielu barwnych postaci w naszym mieście, a zarazem wybitnie zdolną koronkarką i hafciarką. Prowadziła bardzo spartański tryb życia. Mieszkała w skromnym domku



Widok w kierunku uregulowanego potoku Starowiejskiego. Powyżej tamy rumszowej obok boiska sportowego znajdował się zalew rekreacyjny.

w rynku po stronie wschodniej, prowadząc tam oryginalny tajemniczy sklepik. Latem często można było ją spotkać nad potokiem Mordarka w rejonie zapory pod „Marcinkiewiczem”, gdzie pracowała nad swoimi robótkami ręcznymi, korzystając ze słońca i kąpieli w basenie poniżej tamy. My młokosy wielokrotnie podglądaliśmy p. Michalinę, czyniąc jej najróżniejsze figle.

## Potok Starowiejski

Ma źródło na północnych zboczach Pasma Ostrej, na odcinku Cichonia do Jeżowej Wody.

Spływają do niego również wody z wzniesienia Golców i południowo – wschodnich stoków Jabłońca. Zasilany jest wieloma dopływami, największym z nich jest Potok Słopnicki.



Szerokie koryto największego w Limanowej potoku było miejscem dziecięcych zabaw. Drewniany most stanowił połączenie miasta z zagospodarowanym rolniczo Lipowem. Lata pięćdziesiąte XX wieku.





Niewielkie rozlewiska i kamieńce otoczone szpalerem łasków łągowych pokazują urok „wolnej rzeki”, w której koryto człowiek w niewielkim stopniu ingerował, pozostawiając grube pnie zabezpieczające brzegi i przerzucając niewielkie kładki dla pieszych. Okolice cmentarza.



Zniszczenia po powodzi na ulicy Starowiejskiej (dzisiaj Józefa Marka).



Nad Potokiem Starowiejskim, na Siwym Brzegu siedzi Jan Kanty Czaja - 1937 rok. Na widocznych w tle polach dzisiaj znajduje się cmentarz komunalny.



Faszynowe regulacje koryta Potoku Starowiejskiego były powodem powstania niewielkich zalewów i żwirowych plaż wykorzystywanych przez limanowian.



Poniżej zapory na Potoku Starowiejskim na przełomie lat 60. i 70. powstał pierwszy limanowski basen, który cieszył się wielkim powodzeniem.

Spod Pasma Ostrej główny ciąg Potoku Starowiejskiego spływa w północnym kierunku przez miejscowość Stara Wieś, aby dopłynąć do Limanowej, gdzie łączy się z potokiem Mordarka, tworząc Sowlinkę.

Podobnie jak potok Mordarka podczas intensywnych opadów deszczu przybiera na sile, jednak jego moc jest nieco słabsza ze względu na duże obszary rozlewiska. Potok ten kilkakrotnie zagrażał podmurowaniom kościoła. Przed jego uregulowaniem najbardziej romantycznie wyglądał na wysokości od „Siwego Brzegu” do miejsca jego połączenia się z potokiem Mordarka. Po drugiej stronie brzegu Potoku Starowiejskiego znajdowały się gęste zarośla, gdzie rosły olchy i krzewy tarniny, można było tu spotkać niezliczoną ilość gatunków ptaków. Dalej rozciągały się tzw. „krzaki rusinowskie” (współcześnie tereny powyżej komunalnego cmentarza). Były to tereny tajemnicze, świetne dla zabaw młodzieńczych.

W szerokim zaś kamienistym korycie potoku „wyrastało” wiele kęp na skalistym podłożu, które utworzone zostały z ziemi naniesionej w czasie powodzi. W pobliżu były kolonie złocistych kaczeńców.

Potok ten w latach międzywojennych nie miał jednak takiego znaczenia rekreacyjnego jak potok Mordarka. Dopiero w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia jego duże przestrzenie zostały wykorzystane. To właśnie na tym potoku w pobliżu boiska do piłki nożnej, została wybudowana zaporą przeciwrumszowa, poniżej której powstał pierwszy basen z prawdziwego zdarzenia w Limanowej. W okresie lata bił rekordy popularności. Trudno w jego pobliżu było znaleźć miejsce do plażowania.

Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku powyżej tamy został zbudowany rekreacyjny zalew, który stał się atrakcyjnym miejscem do uprawiania sportów kajakowych. Niestety niedługo on funkcjonował, brak odpowiednich zabezpieczeń technicznych przed rumowiskiem niesionym przez nurt górskiego potoku, spowodował, iż bardzo szybko zalew ten został zamulony. Nikt już później nie próbował go odtwarzać. Pozostały jedynie wspomnienia i pożółkłe fotografie, które przypominają nam o istnieniu limanowskiego zalewu rekreacyjnego na Potoku Starowiejskim.

Ważnym wydarzeniem higieniczno-estetycznym dla miasta było zasklepienie



Potok Starowiejski po regulacji.



Rekreacyjny zalew na Potoku Starowiejskim stał się atrakcyjnym miejscem do uprawiania sportów kajakowych.

Potoku Jabłonieckiego tunelem betonowym, wzdłuż ulicy Józefa Marka na wysokości budynku sądu. Współcześnie zapewne wielu mieszkańców naszego miasta nie wie o istnieniu tego potoku, który wypływa w okolicach Majeża, przysiółka Starej Wsi Wola. Płynie obok dworu Marsa i jego zabudowań wpływając do tunelu, aby ujść do Potoku Starowiejskiego tuż obok mostu prowadzącego na Lipowe. Wydaje się iż czystość tego potoku jest jako taka, kiedy stadko bobrów zdecydowało się zbudować żeremie na wysokości dawnego miejskiego ogrodu. Można fakt ten oglądać z parku miejskiego.

Jakże inaczej dzisiaj wyglądają opisane limanowskie potoki, które już nie spełniają żadnej roli rekreacyjnej. Wzdłuż prawie całego ich nurtu są zarośnięte chaszczami, w których gromadzą się

śmieci. Zaś obok linii brzegowej wybudowano wiele domów. Biegają tu także drogi komunikacyjne. To skutki cywilizacyjnego postępu, ale czy właściwie pojmowanego?

Jest pewna iszkiełka nadziei, wykorzystania tych terenów na cele rekreacyjne, których we współczesnej Limanowej jest niewiele. Wzdłuż bulwarów (ulicy Kusocińskiego) porządkowany jest teren i pojawia się nadzieja jego zagospodarowania zapewne ku ucieście mieszkańców, którzy w pogodne dni gromadnie spacerują w tych rejonach.

**Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”**

# Mistrzowie piekarnictwa w Limanowej – Maria i Józef Wojsowie

Szacunek dla chleba jest częścią naszego dziedzictwa kulturowego, oparty na symbolice, zwyczajach i obrzędach. W polskiej tradycji kulturowej chleb był symbolem pożywienia, a także dostatku i pomyślności. Nie zawsze bowiem i nie dla wszystkich był pożywieniem podstawowym i codziennym. W biedniejszych częściach kraju, jeszcze w pierwszej połowie XX wieku pojawiał się w domu jedynie w większe święta.

Tradycje piekarnictwa w Limanowej sięgają okresu autonomii austriacko-węgierskiej. W drugiej połowie XIX wieku w Limanowej było pięć piekarni, trzy z nich należały do chrześcijan: Jana Baczyńskiego, Piotra Brzeziny i Jana Szymanka. Dwa zakłady prowadzili Żydzi: Samuel Zimmerspultz i wdowa Sprinea Einhorn.

Pod koniec wieku pieczenie chleba zaczęło upowszechniać się na wsiach, co znacznie zmniejszyło popyt na pieczywo w samej Limanowej. W roku 1899 do miasta zaczęto też przywozić chleb z mechanicznych piekarń Barucha z Podgórza pod Krakowem, co spowodowało zmniejszenie dochodów miejscowych piekarzy. Ostatecznie po upadku dwóch warsztatów pozostała jedna firma katolicka wypiekająca głównie bułki oraz dwie żydowskie wypiekające chleb żytni i pszenny.

Profesor Franciszek Bujak w monografii „Limanowa Miasteczko Powiatowe w Zachodniej Galicyi – Stan społeczny i gospodarczy” wydanej w 1902 roku tak opisuje sytuację w piekarnictwie w Limanowej na przełomie XIX i XX wieku: (...) Do niedawna były w Limanowej bardzo pomyślne warunki dla piekarzy bo lud okoliczny pospolicie nie piekł sam chleba, ale od czasu do czasu kupował zwłaszcza w niedzielę i dni targowe tudzież na większe roboty polne. Obecnie już stosunki znacznie się zmieniły, świadectwem tego jest upadek dwóch warsztatów. Obok pieczenia chleba, upowszechniającego się coraz bardziej u ludności wiejskiej, robi miejscowym piekarniom konkurencję przywóz chleba baruchowskiego z Podgórza. Dobrocią nie odznacza się wcale tutejsze pieczywo. Katolik piecze przeważnie bułki. Jeden Żyd piecze

najczęściej mieszkańcom Limanowej dostarczone gotowe ciasto, pobierając po 8 hal. od bochenka, drugi piecze głównie chleb pszeniczny i żytni dla stałych odbiorców po wsiach.

(...) Chleb w różnych gatunkach, od czarnego do plecionek polewanych szafrańcem i obwarzanków sprzedają także Żydzi z Nowego Sącza na limanowskich

jarmarkach. Każdy z nich przywozi co najmniej pół wozu towaru (około 300kg) i sprzedaje go nawet na półkoszu, zdjętym z wozu. Naprzeciw nich w zwartym szeregu stają półkoszki i beczki z „uszwionkami”, czyli plecionkami kukielkami, które wypiekają i rozwożą wyłącznie mieszkańcy wsi Uszwi w pow. brzeskim. Jest to rodzinny zbytkowy artykuł spożywczy, ulubiony przez ludność wiejską. Małe kukielki po 10-50 hal. przynoszą rodzice dzieciom jako gościniec z jarmarku, większe po 3-8 kor. ofiarują kumoszki matkom swych „chrześniaków”. Bułki sprzedają straganiarki miejscowe zarówno chrześcijanie jak i Żydzi.



Rodzina Wojsów: Maria Wojs z z synem Adamem i Leonem (na koniku), Józef Wojs, z córka Heleną (z prawej). Pośrodku Krystyna Kwiatkowska (matka Marii) z wnuczką Krystyną.

▶ W latach międzywojennych najbardziej znanymi piekarniami w Limanowej były dwie piekarnie: Szymanków i Wojsów. Działały również trzy piekarnie Żydów: J. Nichtborgera, C. Rumsteina, M Silbersteina. Piekarnia i sklep Katarzyny i Leopolda Szymanków znajdowały się w podcieniach, po stronie północnej rynku, bliżej kościoła. Budynek ten spłonął podczas pożaru podcieni w 1945 roku.

Maria i Józef Wojs przybyli do Limanowej w 1927 roku. Kupili od Maniowskich murowany parterowy dom, mieszczący się w pobliżu cmentarza parafialnego dawniej przy ul. Krakowskiej (obecnie ul. Mordarskiego, budynek istnieje do dzisiaj). Do tego budynku dobudowali piekarnię, którą nazwali „Piekarnia Podhalańska Józefa Wojsa”.

Po wyposażeniu piekarni w niezbędne urządzenia, ruszyła produkcja pieczywa, która praktycznie trwała nieprzerwanie przez 36 lat (do 1963 r.) W piekarni tej wypiekano szeroki asortyment wyrobów piekarniczych wysokiej jakości. Pieczywo Wojsów można było nabyć w sklepie przy samej piekarni oraz w sklepie mieszczącym się przy ulicy Pierackiego (dzisiaj Jana Pawła II) tuż obok kościoła po lewej stronie, idąc w kierunku stacji kolejowej.

Rodzina Wojsów wraz z dziećmi Heleną, Adamem i Leonem przybyła do Limanowej z Chomranic, skąd pochodziła żona Józefa Wojsa, Maria Franciszka z domu Kwiatkowska (1904–1943).

W 1922 roku osiemnastoletnia Maria poślubiła Józefa Wojsa (1897–1978) pochodzącego z Krasnego Potockiego. Pięć lat później sprzedali gospodarstwa rolne żony Marii w Chomranicach, aby przenieść się do Limanowej i kupić wspomniany murowany dom, w którym urządzili i prowadzili piekarnię, która szybko zdobyła renomę w miasteczku. Józef Wojs był osobą bardzo przedsiębiorczą. Do swojej piekarni każdego roku zaraz po żniwach sprowadzał koleją głównie z młynów podolskich całe wagony mąki żytniej i pszennej. Mąka ta miała wysoką jakość, bowiem pochodziła z urodzajnych gleb czarnoziemów, a zarazem była najtańsza i można było ją zdobyć w dowolnej ilości. Spośród wszystkich limanowskich piekarzy on jeden nie kupował mąki w miejscowych hurtowniach żydowskich.

W drugiej połowie lat 30. XX w., kiedy Józef Wojs sprowadził dużą ilość mąki z Kresów Wschodnich jego działalność staje się bardzo dynamiczna. Rozbudowuje swój magazyn na mąkę, buduje drugi piec. Fakty te dają mu możliwość zwiększenia produkcji w swojej piekarni. Dla rodziny Wojsów nastąpiły lata świetności. Niestety zbliżała się II wojna światowa, okupacja podczas której umarła żona Maria. Po wojnie następuje upaństwowienie piekarni, wszystko to czyni, iż już od tej pory było tylko źle.

Józef Wojs jeszcze przed I wojną światową zdobył umiejętności w branży piekarniczej, będąc najpierw uczniem, a potem czeladnikiem piekarskim w piekarni Hebenstreita w Nowym Sączu przy dzisiejszej ul. Długosza. W czasie I wojny światowej walczył jako żołnierz armii austriackiej na froncie włoskim nad rzeką Piave (na płn. – wsch. od Wenecji).

Dyplom mistrzowski wydany przez Izbę Rzemieślniczą w Krakowie, nr 108/1932 r., Józef Wojs uzyskał po złożeniu egzaminu mistrzowskiego w zawodzie piekarskim.

Wielkim wsparciem w działalności piekarniczej dla Józefa Wojsa była jego żona Maria. Tak o tym fakcie napisał syn Adam we wspomnieniach zatytułowanych „Moi przodkowie po kądzieli i ich koligacje” wydanych w formie maszynopisu



Na czele delegacji limanowskich rzemieślników idzie Józef Wojs - Starszy Cechu. Sztandar niesie Ignacy Zieliński - kołodziej, przy sztandarze Jan Biedroń - kupec (po prawej), Stanisław Palka - stolarz (po lewej) - 1936 rok.



Na stacji kolejowej w Limanowej Józef Wojs (z prawej) z synem Adamem - 1931 rok.

w 1987 roku.: *Głównie dzięki staraniom mojej matki piekarnia w Limanowej dobrze prosperowała. Moja matka postępowała zawsze rozsądnie i właściwie, a przy tym była wobec innych miła i taktowna. W swoim postępowaniu kierowała się zawsze sercem i zdrowym rozsądkiem(...).*

Józef Wojs, mistrz piekarniczy oprócz prowadzenia własnej piekarni i sklepów, angażował się w działalność społeczną miasta. W roku 1935 został wybrany Starszym Cechu, w Limanowej. W jego domu znajdowało się biuro Cechu bowiem organizacja ta w tym czasie nie dysponowała własnym pomieszczeniem. Starszym Cechu pozostaje do rozpoczęcia wojny w 1939 r. Za czasów okupacji (1940 rok) powstaje przy Cechu Zarząd Komisaryczny. Komisarzem biura dla Cechu Rzemiosł zostaje mianowany Stanisław Mikulski wysiedlony z Poznania.



Limanowscy kupcy. Józef Wojs siedzi drugi z lewej - 1936 rok.

Gdy Józef Wojs musiał ukrywać się przed okupantem, piekarnię prowadziła żona Maria. Mimo, że musiała rozliczać się z każdego kilograma mąki i każdego bochenka chleba, rozdawała chleb potrzebującym, zyskując ich wdzięczność. O szacunku do Jej osoby napisał syn Adam we wspomnianej publikacji: *Zmarła 29 kwietnia 1943 r. w szpitalu w Nowym Sączu; została pochowana 2 maja na cmentarzu w Limanowej. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziło ją całe miasto. Jej grób pokryło mnóstwo kwiatów i wieńców. Na jednej szarfie wieńca widniał napis: „Najczulsze serce Limanowej zgasło”*. Po Jej śmierci (1943 r.) do powrotu Józefa Wojsa, piekarnię prowadziła córka Helena. Jednak w branży piekarniczej z czwórki dzieci Marii i Józefa Wojsów (Heleny, Adama, Leona, Krystyny) pozostał jedynie Leon, który kontynuował dzieło ojca.

Józef Wojs w latach międzywojennych włączył się aktywnie w życie społeczne miasta. Oprócz wspomnianej działalności w Cechu w roku 1926 wszedł w skład komitetu budowy nowej szkoły. Kiedy w 1936 roku zostaje powołana Gminna Komisja Letniskowo – Turystyczna jako pomocnicza instytucja dla Rady Miejskiej i Magistratu zostaje członkiem tej Komisji. W 1938 roku był współtwórcą, następnie członkiem Zarządu Limanowskiej Hurtowni Kupców Polskich. W okresie międzywojennym był członkiem Rady Miasta.

Po okupacji ponownie piastuje funkcję Starszego Cechu Rzemieślniczego w Limanowej, współkierując Powiatowym Cechem Rzemieślniczym w latach 1945-49.

Po II wojnie światowej w Limanowej działają trzy piekarnie: Józefa Wojsa przy ul. Krakowskiej 158 (obecnie ul. Mordarskiego); Jana Nawalańca przy ul. Piłsudskiego 194 (obecnie ul. Matki Boskiej Bolesnej); Stanisława Kunickiego przy ul. Sąddeckiej 181 (obecnie ul. Kościuszki), a także w Sowlinach.

Pod koniec lat czterdziestych XX w., syn Józefa Wojsa, Leon wraz z żoną Janiną wyjeżdża z Limanowej do Piwnicznej, gdzie w wynajętym lokalu w pobliżu rynku prowadzi piekarnię. Jednak tam długo nie pracują, bowiem w rodzinnej piekarni Wojsów w Limanowej narastają trudności zarówno organizacyjne jak i finansowe związane z domiarem podatkowym oraz utrudnieniami czynionymi przez nową władzę. Dla uniknięcia oddania rodzinnej piekarni w obce ręce, Józef Wojs przywołuje syna Leona do powrotu do Limanowej w celu dalszego prowadzenia zakładu. Młodym następcem



Stanisława Weibrenner - Dutka w „Piekarni Podhalańskiej” Józefa Wojsa przy ulicy Krakowskiej (dzisiaj Jana Pawła II).

z pomocą finansową przychodzi teść Leona, Jan Bulanda i piekarnia ponownie odzyskuje sprawność.

Dalszy nacisk władz sprawia jednak, iż w latach 50. ubiegłego stulecia wszystkie trzy limanowskie piekarnie zostają przejęte przez Miejską Spółdzielnię Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej, ale nadal prowadzone są przez poprzednich właścicieli.

Po wybudowaniu mechanicznej piekarni przez RSZiZ wszystkie limanowskie piekarnie zakończyły swoją działalność. Jedynie na bazie piekarni Wojsa po jej modyfikacji działalność rozpoczął cukiernik Jan Górski, pochodzący z Mszany Dolnej. Otwarta została tutaj cukiernia „Szarotka”, którą później przeniesiono do nowo wybudowanego budynku Jana Górskiego przy ul. Świerczewskiego (obecnie Jana Pawła II) zaraz przed mostem na potoku Mordarka (budynek istnieje do dzisiaj).

Pomimo długoletniej tradycji rodziny Wojsów w dziedzinie piekarniczej, kolejne pokolenia nie poszły w tym kierunku, pozostała o tej działalności tylko pamięć i sentyment. Jedynie wnuk Józefa Wojsa, Janusz w pewnym sensie częściowo kontynuuje tradycje dziadka, dyrektorując przez wiele lat w Cechu Rzemiosła i Przedsiębiorczości w Limanowej.

Organizacja ta od trzynastu lat w pierwszą niedzielę września na limanowskim Rynku organizuje tradycyjne Święto Chleba.

Niech więc staropolskie gesty łamania się chlebem, dzielenia się nim i wyrażania życzliwości będą w centrum naszego świata i filozofii życia.

**Fotografie: arch. rodziny Wojsów, „Echa Limanowskiego”**

# Czas zatoczył koło...

## Dawna i nowa historia browarów limanowskich

### Dzieje browaru limanowskiego

Tradycje warzenia piwa w Limanowej sięgają początku istnienia miasta. Pierwszą informację o limanowskim browarze mamy z 1581 roku. Wiemy z niej, że browar limanowski wyrabiał wyborne piwo, *które na wiele miejsc postronnych brano, iż dobre i smakowite było.*

Prawo do wyboru piwa należało do mieszczan. Świadczy o tym „ordynacja” z 1640 roku wydana przez ówczesnego właściciela miasteczka, stolnika krakowskiego, Achacego Przyłęckiego. W akcie owym Przyłęcki żąda, by jakość wyrobianego piwa była jak najlepsza, ustalając, iż słód piwny miał produkować młyn „pański”, dziedzic miał również dostarczać ze swych lasów opał.

W czasach późniejszych prawo wyrobu i sprzedaży piwa przejął od mieszczan dwór starowiejski.

Profesor Franciszek Bujak w monografii zatytułowanej: „Limanowa Miasteczko Powiatowe w Zachodniej Galicyi. Stan Społeczny i Gospodarczy”, opisuje działalność browaru Marsa u schyłku XIX i początku XX wieku. Ówczesny właściciel dworu starowiejskiego, Józef Mars, w 1890 roku gruntownie przebudował cały browar, wprowadzając na owe czasy nowoczesną technologię warzenia piwa. „Nowy” browar był dużym zakładem, zdolnym konkurować jakością i wielkością produkcji z innymi browarami w okolicy.

Początek XX wieku dla limanowskiego browaru był okresem jego świetności. Staje się pierwszym browarem w kraju

warzenia piwa systemem gotowania parą. W tym czasie produkuje się tu kilka gatunków piwa: Marcowe, Ciemne, Królewskie, Bok Limanowski, Bawarskie, Złote, Porter Limanowski, Leżak, Sarmackie, Stołowe, Salwador. O popularności piwa z browaru „Zygmunta Marsa i Brata” świadczą reklamy, które w ówczesnych latach pojawiły się na łamach gazet.

W poczytnym „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” ukazującym się w Krakowie, w numerze z kwietnia 1914 roku umieszczono reklamę o treści: *Na Święta – wysmienite uznane za najlepsze – Piwo Limanowskie – ciemne i jasne jako też specjalnej niezrównanej dobroci – Piwo Złote Limanowskie – dostawa do domu poczęwszy od 10 flaszek.*

Niestety wielki kryzys lat międzywojennych przyniósł upadek browaru limanowskiego. Browar stopniowo ograniczał produkcję i zatrudnienie, aż wreszcie stanął w 1925 roku. W kolejnych latach istniały próby wznowienia działalności browaru przez ostatniego właściciela Grzegorza Marsa, które się nie powiodły. Ostatecznie w 1934 roku browar został zamknięty.

Pozostały jedynie budynki, które wraz kominem maszynowni browaru wpisały się na stałe w limanowski pejzaż. Współcześnie zabudowania zostały odrestaurowane i ma w nich siedzibę Starostwo Powiatowe.

Być może przechodząc wielokrotnie w pobliżu zabudowań browaru, młodzi limanowianie zostali zainspirowani do podjęcia decyzji o rozpoczęciu biznesu w dziedzinie piwowarskim.



Zabudowania browaru Marsów.



Pracownicy Firmy Browars w hali produkcyjnej.

Po bez mała 80 latach, nawiązując do tradycji dawnych metod warzenia piwa rozpoczęli oni, o dziwo na terenie dawnego majątku Marsów, współczesne warzenie piwa, ale o tym w dalszej części artykułu.

\*\*\*

## Powstał z fantazji, pasji i odwagi

„Browars” – browar rzemieślniczy – tak brzmi pełna nazwa przedsiębiorstwa założonego przez dwóch wspólników Arkadiusza Sukiennika i Mariusza Marka. **Powstał z ich marzeń** o swojej firmie; **z pasji**, potrzeby eksperymentowania oraz chęci stworzenia własnego produktu; **z odwagi** – bo trzeba jej posiadać dużo, aby porzucić stabilną, opłacalną pracę w korporacjach i podjąć ryzyko sukcesu lub porażki.

## Początki...

Był 2015 rok. *Podczas towarzyskiego spotkania – opowiada Arkadiusz Sukiennik – Mariusz (wspólnik) poczęstował mnie piwem własnego wyrobu. Warzył je w domowych warunkach, z naturalnych surowców. Zaczęliśmy rozmowę o planach życiowych. Wówczas byłem zniechęcony pracą w korporacji i szukałem pomysłu na biznes. Wtedy spontanicznie narodził się projekt stworzenia własnego browaru*”. Po dwóch dniach zadzwonił do przyjaciela z konkretną propozycją, aby na potrzeby browaru wykorzystać pomieszczenia w domu rodzinnym żony, pozostałe po działalności gospodarczej. Następny etap stanowił zakup profesjonalnej, nowoczesnej aparatury, stosowanej w browarach rzemieślniczych. Pierwsze zbiorniki i kadzie zostały dostarczone 29 lutego 2016 roku – wspólnicy

potraktowali tę datę jako dobry znak. Przez kolejne dwa miesiące trwały prace instalacyjne.

Datę 31 maja 2016 roku zapamiętają na całe życie. W tym dniu uruchomili produkcję i...niebawem zapłacili gigantyczny rachunek za gaz. Do nieprzewidzianych wydatków dołączono jeszcze karę za przekroczenie mocy. Po tym przykrym wydarzeniu warzenie pierwszej partii piwa przebiegało bez zakłóceń. Nowe produkty: „Piana Americana”, „Drycoola”, „Jaśnie Pian” pojawiły się na rynku w lipcu.

## Zabawa smakiem i...słowem

„*Nasze piwa nie są przeznaczone dla tych, którzy zwracają uwagę na moc i ilość, lecz dla „smakoszy*” – humorystycznie stwierdza Arkadiusz Sukiennik. Przygotowaniem receptury, eksperymentowaniem i doбором dodatków smakowych zajmuje się Mariusz Marek. Bardzo ważny jest wybór surowców wysokiej jakości, które pochodzą z całego świata. Niepowtarzalny smak nadają piwu dodatki np. trawa cytrynowa, skórki cytrusów, przyprawy, zioła, płatki ryżowe czy słody specjalne.

Wszystkie produkty posiadają oryginalne nazwy, odzwierciedlające poczucie humoru i inwencję wspólników. Kolorowe, wykorzystujące technikę plakatu etykiety są projektowane przez firmę graficzną, przy znacznym udziale właścicieli.

Jeden z pierwszych wyrobów „Jaśnie Pian” przypomina dawnych właścicieli browaru limanowskiego – Marsów. Z etykiety spogląda uśmiechnięta twarz „Jaśnie Pana”, którą otaczają szyszki chmielu – oczywista przyczyna dobrego humoru. Ten produkt otrzymał złoty medal w największym ►



► w Polsce konkursie piw rzemieślniczych podczas ubiegłorocznych Poznańskich Targów Piwnych. Jest to impreza ogólnopolska, oceny wyrobów dokonują zagraniczni eksperci. Przewodniczącym jury konkursu jest znany bloger, koneser i sędzia Tomasz Kopyra.

Tworząc receptury, limanowscy producenci bazują na własnych doświadczeniach i wiedzy. Dodają surowce według własnego pomysłu... „La Siesta”, piwo w stylu „saison” z południowej Belgii posiada aromaty przyprawowo owocowe, charakterystyczne dla tamtych rejonów. „Piana Americana”, „Comboy”, „Drycool” nawiązują do amerykańskich piw, w smaku których wyczuwa się cytrusy i wysoką goryczkę. Z sympatii Arkadiusza Sukiennika dla Japonii powstał „Japan San” z dodatkiem trawy cytrynowej, płatków ryżowych i chmielu japońskiego. Jest to jego ulubione piwo.

Piwa „nowofalowe”, cieszą się uznaniem koneserów w dużych miastach: w Warszawie, Krakowie, Kielcach, Radomiu, Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu i w Trójmieście. Dla potrzeb rynku lokalnego powstało „Piwo limanowskie”, warzone w trzech odmianach; tradycyjne piwo dolnej fermentacji typu „lager” i „pils” oraz piwo górnej fermentacji typu „ale” o delikatnym kwiatowo – owocowym smaku. Oryginalną nazwę posiada „LAST OF THE REAL” – piwo z dodatkiem limonki. Pochodzi ona od zespołu rockowego, założonego przez Grzegorza Palkę z Limanowej. Etykieta przedstawia wizerunki członków grupy. Jest to forma promocji stosowana przez popularne zespoły muzyczne.

## Tradycyjne i naturalne

Piwo wytwarzane w browarze rzemieślniczym różni się znacznie od wyrobów oferowanych przez koncerny. Powstaje z naturalnych surowców, a nie z koncentratów, syropów i aromatów. Cykl warzenia trwa minimum cztery tygodnie i przebiega w tradycyjny sposób, tak jak kilkadziesiąt lat temu (zacieranie, gotowanie, fermentacja, leżakowanie). Różnica

polega na możliwości kontrolowania i regulowania temperatury podczas fermentacji. Piwo z limanowskiego browaru poddawane jest pasteryzacji, co zapewnia jego trwałość (przydatność do spożycia to sześć miesięcy) i nie ma wpływu, jak twierdzą wspólnicy, na walory smakowe. Przy warzeniu piwa są zatrudnione dwie osoby, posiadające wykształcenie piwowarskie. Praca w browarze wymaga stałej obecności i zaangażowania wspólników. Pochłania mnóstwo czasu, ale też daje satysfakcję, pozwala na rozwój.

Mimo że „Browars” jest młodym przedsiębiorstwem, jego produkty są już rozpoznawalne na rynku, cieszą się uznaniem koneserów, co potwierdzają wpisy na blogach. Piwo warzone w Limanowej jest chętnie spożywane, jak już wspomniałam, w dużych miastach. Transport odbywa się za pośrednictwem firm kurierskich. Na rynku lokalnym dystrybucją zajmuje się hurtownia Jerzego Wrony, która oferuje jego wszystkie odmiany. Piwo z „Browars” można spotkać w niektórych sklepach np. „Stanex” i restauracjach np. Karczma „Matras”, „Dzikie wino”.

Ważną formą promocji jest udział w festiwalach piwa, organizowanych w dużych ośrodkach. Limanowscy producenci planują uczestniczyć w kilku imprezach ogólnopolskich. Ich marzeniem jest zorganizowanie „Święta Piwa” w Limanowej, gdyż byłaby to okazja nie tylko do reklamy własnych wyrobów, ale też do prezentacji miasta.

Po roku działalności można uznać, że „Browars”, który powstał z fantazji, pasji i odwagi wspólników odniósł sukces. Redakcja „Echa” życzy Panom Arkadiuszowi Sukiennikowi i Mariuszowi Markowi, aby ich „pomysł na życie” stał się źródłem ciągłej satysfakcji, mierzonej nie tylko dochodem ze sprzedaży

**Ilona Machowicz-Jurowicz**  
**Stanisław Ociepka**  
**Fotografie i etykiety: arch. Firmy Browars**



## PIWO LIMANOWSKIE PILS

JASNE PIWO DOLNEJ  
FERMENTACJI.



SKŁADNIKI:  
WODA, SŁÓD JĘCZMIENNY,  
CHMIEL: IUNGA, LUBELSKI,  
SYBILLA, DROŻDŻE

CHARAKTERYZUJE SIĘ ZŁOCIĄTĄ  
BARWĄ, GĘSTĄ BIAŁĄ PIANĄ  
ORAZ PRZYJEMNĄ,  
SZLACHETNĄ GORYCZKĄ,  
WYRAŹNIE SŁODOWE  
Z BOGATYM AROMATEM  
I SMAKIEM POLSKICH  
CHMIELI.



PIWO PASTERYZOWANE  
NIEFILTROWANE

OBJĘTOŚĆ NETTO:

**500** mL

PRODUCENT:  
BROWARS SP. Z O.O.  
34-600 LIMANOWA  
UL. ŻWIRKI I WIGURY 20  
WWW.BROWARS.PL

BUTELKA BEZZWROTNA



NAJLEPIEJ SPOŻYCZ PRZED / NR PARTII:

# Piwo Limanowskie

## PILS

ALK. 4,7% OBJ. / EKSTR. 12,5% WAG.

PRZECHOWYWAĆ  
W MIEJSCU CHŁODNYM  
I ZACIENIONYM



### Etykiety browaru rzemieślniczego w Limanowej BROWARS

**Jasnie Piane**  
White India Pale Ale.  
Jasne piwo górnej fermentacji  
będące połączeniem belgijskiego Witbiera  
z amerykańskim IPA. Ujmujący cytrusowy  
aromat zawdzięcza użyciu amerykańskiego  
chmielu, skórki gorzkiej pomarańczy  
Curaçao, świeżo mielonej kolendry  
indyjskiej, a także rumiankowi.

Objętość netto  
**500 mL**  
ALK. 6% OBJ. / EKSTR. 15% WAG.  
Najlepiej spożyć przed:

Przechowywać w miejscu  
chłodnym i zacienionym.

SKŁADNIKI:  
WODA, SŁÓD JĘCZMIENNY, SŁÓD  
PSZENICZNY, PŁATKI PSZENICZNE,  
CHMIEL: SOUTHERN CROSS,  
CENTENNIAL, CITRA®,  
AMARILLO®, MOSAIC®,  
KOLENDRA INDIJSKA, SKÓRKA  
POMARAŃCZY CURAÇAO,  
RUMIAŃEK, DROŻDŻE US-05  
Piwo pasteryzowane, niefiltrowane.

BUTELKA  
BEZZWROTNA

Producent: Browars sp. z o.o.  
34-600 Limanowa,  
ul. Żwirki i Wigury 20  
www.browars.pl

SAISON - PIWO GÓRNEJ  
FERMENTACJI WYWODZĄCE SIĘ  
Z POŁUDNIOWEJ BELGI.  
ORZEZWIĄJĄCE, DELIKATNIE  
KWASKOWE O ZDECYDOWANYM  
AROMACIE OWOCOWO  
-PRZYPRAWOWYM I LEKKIEJ,  
PRZYJEMNEJ GORYCZCE.

PRZECHOWYWAĆ  
W MIEJSCU  
CHŁODNYM  
I ZACIENIONYM

BUTELKA  
BEZZWROTNA

NAJLEPIEJ SPOŻYCZ PRZED:

PIWO PASTERYZOWANE  
NIEFILTROWANE

POJ.  
**500**  
ML

PRODUCENT  
BROWARS  
SP. Z O.O.  
34-600  
LIMANOWA,  
UL. ŻWIRKI  
I WIGURY 20  
WWW.  
BROWARS.PL

SKŁAD: WODA,  
SŁÓD JĘCZMIENNY,  
SŁÓD ORKISZOWY,  
CUKIER TRZCINOWY,  
CHMIEL, SKÓRKA GORZKIEJ  
POMARAŃCZY CURAÇAO,  
DROŻDŻE

Ekstr. 13% w. w. / IBU 20 / Alk. 5,5% obj.

LA  
SIESTA  
SAISON



## Obrazy Franciszka Mrazka







Producent Środków Czystości  
od 1991 roku



*Naturalna czystość*



# Sowlinka, rzeka wspomnień

Połączenie dwóch potoków: Mordarskiego i Starowiejskiego, rozpoczyna bieg niezbyt długiej, ale ciekawej, górskiej rzeczki Sowlinki prawego dopływu Łososiny.

Co prawda zarówno na wojskowych mapach sztabowych z odległej przeszłości, jak i aktualnie dostępnych mapach turystycznych i planach miasta Limanowa, jej nazwa brzmi „Sowlina”. Wychowałem się od urodzenia nad jej brzegami, i każdy sowliniak jak też znajomy limanowianin nazywał naszą rzekę z odcieniem wielkiej sympatii, z uczuciem, zdrobniałym imieniem „Sowlinka”. Identycznie, jak równie urokliwa, bieszczadzka rzeka „Solinka” przepływająca niegdyś przez Solinę (dzisiaj kończąca swój bieg w zalewie tejże nazwy), tak i dla nas, od zawsze, przez Sowliny przepływa „Sowlinka” a nie jakaś ordynarna „Sowlina”!

Aby nie zanudzać Czytelników „EL” postaram się w swej dalszej opowieści o Sowlince unikać zbędnych danych hydrotechnicznych i hydrologicznych, nazw instytucji i nazwisk „dobroczyńców” zasłużonych dla tej rzeki. Ograniczę się jedynie do własnych wspomnień, przeżyć, jak też kilku zapamiętanych opowieści z odleglejszych czasów.

Na dalszą podróż po Sowlince zapraszam niekonwencjonalnie, czyli nie wzdłuż biegu nurtu tej rzeki, ale z historycznej perspektywy, z biegiem upływu lat od chwili jej odkrycia zachwyconymi oczyma dziecka, jej dawno splukanych uroków po późniejsze odkrywanie jej tajemnic. Rozpaczynam od wczesnego dzieciństwa.



Prace przy ochronnej ostrodze brzegowej w górnym odcinku koryta Sowlinki.

## Rzeka dwóch serc

Sowlinkę odkrywałem mając 3 może 4 latka w towarzystwie swej rówieśnicy, Małgosi Udzielanki, córki znanego później akwarelisty Jerzego Udzieli, przyjaciela słynnego góralskiego księdza – filozofa, Józefa Tischnera. Rodzice przywozili ją corocznie „na letnisko” do dziadków zamieszkujących tę samą porafineryjną willę w Sowlinach. Niedługo później wspólnie odszukaliśmy, położoną

bliziuteńko „naszą ukochaną rzekę”. Jej odkrycie nie przyszło nam łatwo. Po spenetrowaniu zdziczałego już przywillowego parku, dalszej drogi bronił jakiś nieprzebrany „100 milowy las” z Kubusia Puchatka. Jak później się okazało, były to pospolite przez wszystkich nazywane nadrzeczne „Krzaki”, ale wówczas nasze dziecięce główki, przerastały nawet wybujałe nad podziw w tej okolicy, łopiany i paprocie.

Tutaj pozwolę sobie dla ułatwienia sięgnąć po fragmenty swego listu do Romka Groszka, sądeckiego animatora kultury, ostatniego opiekuna młodszej siostry Małgosi, któremu zawdzięczam przekazanie w spadku jakże cennych dla mnie obrazów ich ojca Jerzego.

(...) Zawracaliśmy w tym gąszczu wiele razy, aż odnalazłem w nim wydeptaną ścieżkę. I warto było! Tyle męczarni! Ale ten niby leśny „dukt” zaprowadził nas nad RZEKĘ! Cóż to było dla nas za wspaniałe odkrycie. Przejrzysta, czyściusia, górską rzeką, tocząca swój spieniony nurt po kamienistym dnie, a poniżej podwójnego rzędu skalnych progów spokojnie rozlewająca się w szerokie płoś, pełne pluskających ryb. Zauroczeni odkryciem wymykaliśmy się w tajemnicy nad „naszą rzekę” coraz częściej, wabieni jej niezrozumiałym, tajemnym urokiem. Od czasu do czasu przysiadaliśmy cichuteńko na tych skalnych progach, zanurzając w wodzie nasze małe nóżki. Po chwili podpływały do nich ławice maleńkich różnobarwnych rybek (były to strzeble) i rozpoczynały piśzczotliwie podskubywanie naszych bosych stóp (...).

(...)W późniejszych latach wykradałem z domu zgrabną, drewnianą balię. Z trudem toczyliśmy ją nad rzekę i urządzaliśmy wspólne spływy wodnym szlakiem w nieodległe nieznane. To były moje pierwsze rejsy. Jeszcze śródlądowe, ale „naszą rzeką”, hemingway’owską „Rzeką Dwóch Serc”. O te wyprawy balią zaczęły się awantury. Jako prowodyr, obrywałem najwięcej. Rodzice i dziadkowie Małgosi prosili później starszych o opiekę nad nami podczas rzecznych wypraw.

(...) Wyciągałem Małgosię coraz częściej za rzekę, ku następnym odkryciom, ku następnym przygodom. Poznawaliśmy stopniowo obrzeża potężnego jak na naszą dziecięcą wyobraźnię „Stumilowego Lasu” Kubusia Puchatka, którego „własnoocześnie” nie potrafiliśmy jeszcze przeczytać. Za progami skalnymi, po drugiej stronie rzeki, ukrywał się wśród chaszczki olbrzymi głaz, jakby strącony z urwiska ręką tajemniczego giganta. Nie było by w tej skale nic dziwnego, gdyby nie pokrywały jej zagadkowe znaki wyrzute ręką człowieka. Przyrzekliśmy sobie ▶



W parku obok willi przy matce stoi Małgosia Udziela, obok Marek Pankiewicz z matką - 1955 rok.

odszyfrować te hieroglify, gdy zbliżający się powoli obowiązek szkolny odkryje przed nami „Kamień z Rosetty” zawarty w Elementarzu Falskiego.

Z końcem lata Małgosia opuszczała sowlińskie lotnisko. Na pocieszenie, jesienią, przyjeżdżali ku mej radości wędrowni Cyganie. Corocznie rozbijali swój tabor nad brzegiem Sowlinki. Rozstawiali swoje charakterystyczne, bajeczne kolorowe wozy mieszkalne, wyprzęgali konie i urządzali na parę tygodni swoje obozowisko. Czyściutka woda Sowlinki służyła im do wszelkich celów gospodarczych, gotowania, mycia garów, prania, pojenia koni itp. Spędzałem wśród nich przy ognisku całe dnie. Byłem nie do upilnowania przez rodziców.

Starsi Cyganie zajmowali się „cynowaniem” czy też jak się mówiło „pobielaniem” żeliwnych kotłów, które zwozili jak myślę z pobliskich masarni i piekarni. Rozpalali wielkie ognisko, w które wsadzali te osmolone zewnątrz kotły, a po ich rozgrzaniu, brudnymi szmatami wcierali od wewnątrz jakiś szary proch. Po chwili, przed moimi zdumionymi oczyma następował alchemiczny cud. Nagle, ni stąd ni zowąd, wewnątrz kotła rozbłyskiwało srebrzystym blaskiem.

Ale najbardziej, najgoręcej, kochałem wówczas swym dziecinny serduszkami te cygańskie konie. Zadbane, wykarmione, choć na pewno nie tak zgrabne jak wierzchowe araby, lecz nie miałem bądź co bądź w tamtych odległych czasach żadnej skali porównawczej w tej materii. To były wówczas dla mnie najpiękniejsze rumaki mego znanego świata. To proste.

Bo były jedyne, jakie znałem, jedyne do których mogłem początkowo z bojaźnią, a później coraz śmielej podejść, a jeszcze później pogłaskać, a nawet położyć rączkę na ich wilgotnych chrapach.

Cyganie zauważyli moją dziecięcą, końską fascynację i sadzali czasami „na oklep” któregoś z końskich grzbietów, gdy te zajęte były spokojnym skubaniem trawy.

Do końca pobytu nad rzeką, rodzice nie potrafili mnie od tego cygańskiego taboru odpędzić.

Tak też, ówczesny świat mego dzieciństwa kojarzył mi się od zawsze z Sowlinką. Nie regulowały go upływające pory roku, ale oczekiwanie na wiosenny przyjazd Małgosi, a później jesienne przybycie nad rzekę cygańskiego taboru. Wydawało mi się naiwnie, że tak już będzie radośnie i niezmiennie trwało. Na wieki! Na zawsze! Niestety! Po rozpoczęciu nauki dane nam było spędzić nad „naszą rzeką” – Sowlinką jedynie dwa razy szkolne wakacje. Po ukończeniu pierwszej klasy i te niezapomniane ostatniego 1958 roku. Trzy tygodnie po pożegnaniu roześmianej Małgosi dotarła do mnie jej klepsydra. Nie pojawiła się już nigdy nad Sowlinką. Od następnej jesieni omijał również tę rzekę cygański tabor. Nie wiem czy ktoś ich przepędził, czy zmienili trasę wędrówki, czy też dotknął ich w tym czasie administracyjny zakaz prowadzenia koczowniczego trybu życia (...).

Po upływie 60 lat z wielkim wzruszeniem spoglądałam na fotograficzną twarzyczkę Małgosi i odczytuję wielkanocną karteczkę malowaną ręką jej ojca, ale adresowaną dziecinną rączką na moje

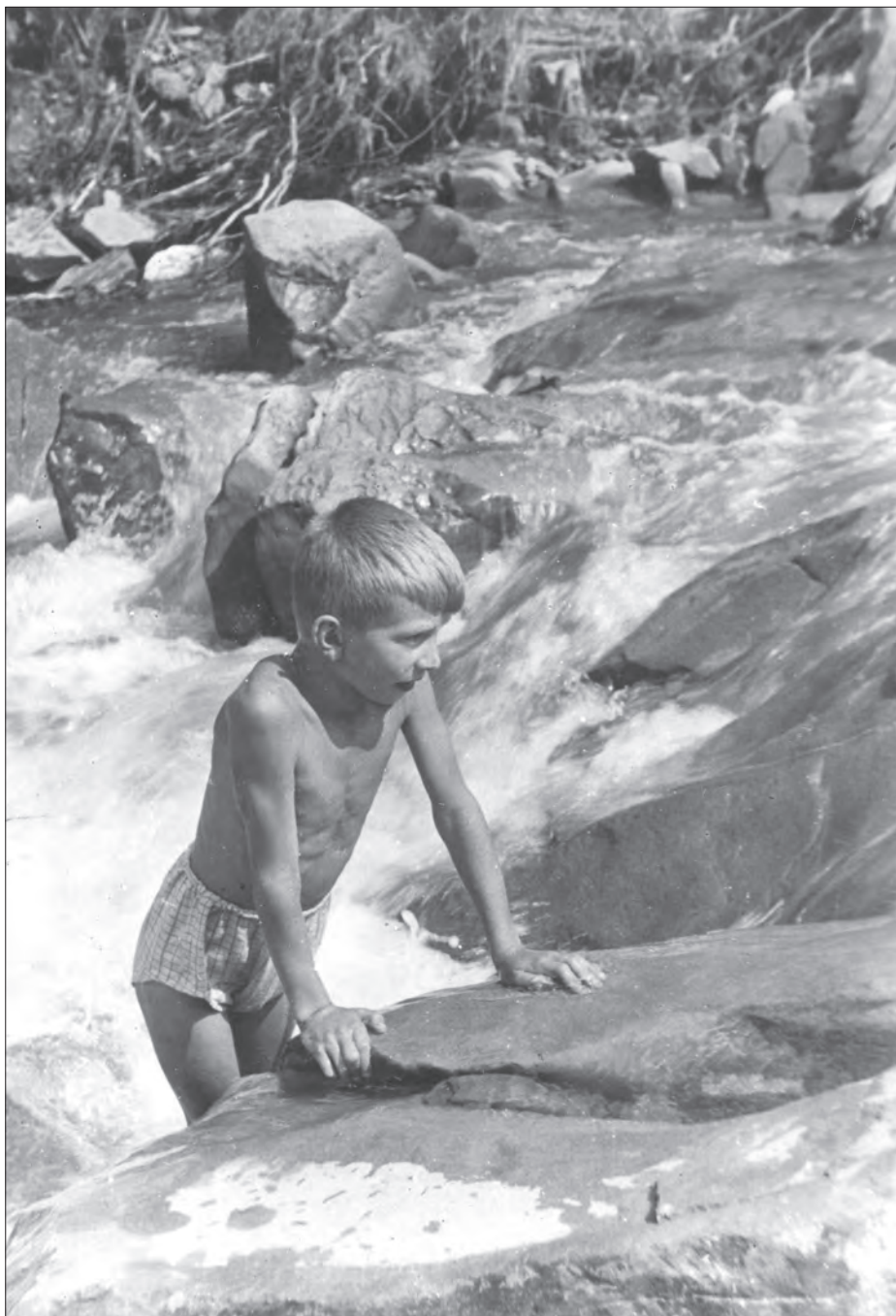
imię z lustrzaną literką „L” przy nazwie miasta Limanowa.

Penetrując ostatnio brzegi Sowlinki dla odświeżenia pamięci, odszukałem zapomniany w dzieciństwie nadbrzeżny głąz z tajemniczą inskrypcją. Niestety, był cały porośnięty zielonym mchem. Nie miałem odwagi go zeszkrobiwać. Ten napis, otulony przed ludzkim wzrokiem cafunem porostów, niechaj w dalszym ciągu skrywa swą tajemnicę. Niechaj już taki nieczytelny pozostanie na wieki, aż ta samotna skała zapadnie się pod ziemię, czy też rozkruszy ją nieubłagany czas erozji!

## Nad rzeką której nie ma

Dźwigających się z biedy powojennych lat ubiegłego wieku, Sowlinka obdarzyła bezpłatnie swymi zasobami, bez zbędnej biurokracji, ale też bez najmniejszej szkody dla żywo toczącego swój spieniony nurt. Od wiosny pojawiały się na kamienistym brzegu rzeki chłopskie furmanki, na które ładowano wielkie i ciężkie otoczaki piaskowca, przywleczone powoli przez lata, gdzieś z górnych dopływających potoków. Służyły do ławic fundamentowych wznoszonych w okolicy obiektów budowlanych, chłopskich domów, stajni, stodół itp. W tamtych odległych, dziwnych czasach ograniczano dostęp dla osób prywatnych do upaństwowionych, odległych kamieniołomów, a wypozyczenie firmowej ciężarówki było marzeniem ściętej głowy. Pierwszeństwo miały drogi i koleje. Pozostawało tylko jedyne wyjście – furmanka i rzeka albo urobek skalny z pobliskich jeszcze prywatnych kamieniołomów.

A z czego stawiać mury? Pomiedzy dojazdową boczną koleją do Rafinerii a brzegiem Sowlinki, powyżej nadrzecznej, murowanej kapliczki uwidocznionej jeszcze na przedwojennych mapach, odkryto olbrzymią, zarośniętą chaszczami, hałdę żużla koksowo – węglowego z porafineryjnej kotłowni. Za czasów galicyjskich i międzywojennych był zbędnym i uciążliwym odpadem przemysłowym. Ten żużel okazał się doskonałym materiałem budowlanym, nazywanym, przez miejscowych chłopów „szlaką”, którą ładowano łopatami na furmanki i wywożono korytem Sowlinki. Mieszany i ubijany z „gazonym” wapnem nawozowym, początkowo bezpośrednio w drewnianych szalunkach, a później w odpowiednich formach, w których wyrabiano chałupniczą metodą słynne „pustaki leszowe”.



Autor wspomnień przy progach skalnych Sowlinki - 1956 rok.

I to bez deka reglamentowanego wówczas cementu, którego dostęp zarezerwowany był wyłącznie na sztandarowe budowle tamtych czasów.

Od niepamiętnych dla mnie czasów, „których najstarsi górale nie pamiętają”, swą zdawałoby się niespożytą i niewyczerpywalną nigdy energię, oddawała Sowlinka „przy okazji” kamiennym żarnom starego młyna wodnego Abrama. Wielkie, zabytkowe koło młyńskie wprawiała w ruch „Młynówka”, która przebiegała skrótem zakola rzeki w Sowlinach. Jej ujście zlokalizowane było na lewym brzegu Sowlinki powyżej dawnej Szkoły Ćwiczeń, z ujściem poniżej spalonego w 1979 r. Zajazdu Turystycznego.

Czas wspomnień o najważniejszej roli, jaką odegrała Sowlinka w historii Limanowej. Na lokalizację w początku XX wieku „wielkiej” jak ją wówczas reklamowano Ryfineryi Nafty w Sowlinach, poza uruchomioną za czasów austriackich linią kolejową, znaczącą rolę odegrał łatwy dostęp do zasobów wodnych, niezbędnych w procesie technologicznym rafinacji ropy naftowej. Gwarantowała je rzeka Sowlinka. Jej największe ilości zużywała rafineryjna kotłownia, której potężne kotły wprawiały w ruch turbiny parowe, napędzające z kolei agregaty prądotwórcze elektrowni zakładu. Od chwili powstania rozświetlała również całe osiedle Sowlin, a od lat 30. także

Limanową. Nie zaprzestała pracy nawet po zakończeniu produkcji przez Rafinerię w okresie „wielkiego kryzysu” jak też w czasach okupacji niemieckiej i pierwszych latach powojennych, aż do czasów podłączenia sieci energetycznej do elektrowni rożnowskiej, a później ogólnokrajowej. Celem zapewnienia stabilnych dostaw niezbędnych ilości zużytej wody, bez względu na znaczne okresowe różnice jej przepływu w rzece, poza jej kilkusetmetrowej długości, obmurowanym dla bezpieczeństwa brzegiem, urządzono wielki zbiornik wyrównawczy. Jego zasoby uzupełniano w miarę potrzeb z ujęcia wody skonstruowanego w nurcie Sowlinki przy murze ochronnym. Z tegoż ujęcia Sowlinka zaopatrywała również pierwszy na Ziemi Limanowskiej wodociąg osiedlowy rafineryjnej „Kolonii” pracowniczej i rafineryjne wille. O dziwo bezpłatnie, bo pierwsze wodomierze zainstalowano w Sowlinach gdy „Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, po podłączeniu rafineryjnej sieci do wodociągu miejskiego z Łososiny. Część wód Sowlinki zamieniana w rafineryjnej kotłowni w parę wodną oznajmiała swym ochryplym głosem, poprzez autentyczną syrenę okrętową z przelomu ubiegłych stuleci, obowiązujący czas robotniczych zmian pracy. Z rzadka, uruchamiana była poza ustalonymi godzinami, żegnając zasłużonych pracowników. O ile dobrze pamiętam, najdłużej „pary w gwizdek” dali pracownicy Rafinerii byłemu dyrektorowi inż. Józefowi Florianowi i czym byłem bardzo zaskoczony, również mojemu ojcu Franciszkowi.

W dziecińczych latach miałem w tej rzece również swój własny, prywatny interes – kopalnię złota. Może nie dokładnie złota, ale kruszcu, który dawał się wymienić w pobliskim skupie złomu na brzęczące złotówki. Było to najrozmaitsze żelastwo, które osadzało się po przepłynięciu większych wód pod wspomnianymi wcześniej progami skalnymi.

Gdy zabrakło mi na cukierki, „polałem” po lekcjach do „swojej kopalni” uzupełnić zbieraną od dłuższego czasu kupkę złomu. Niestety, za skalnymi głazami znalazłem charakterystyczny, żeliwny, porzewiały, wojskowy granat ręczny. Skąd przypuszczałem że to granat? Po prostu z obrazków! Naukę w „Ćwiczeniówce” zacząłem pobierać w połowie lat 50. Na tylnych okładkach wielu 16 kartkowych zeszytów szkolnych, które używaliśmy w początkowych klasach, nadrukowane

► były ostrzegawcze obrazki przeróżnych, niebezpiecznych wynalazków, którymi dorośli zabawiali się w czasie II wojny. Po jej zakończeniu błąkało się po polach i w lasach mnóstwo niewypałów. Dużo dzieci ginęło lub zostawało kalekami, zabawiając się nieświadomie takimi znaleziskami. Stąd też na okładkach zeszytów dla młodszych dzieci znalazły się te obrazki, różnych groźnych pocisków, min i granatów. Moje znalezisko z rzeki „wypisz wymaluj” pasowało do jednego z nich. Na drugi dzień zameldowałem się u kierownika szkoły Bolesława Mężyka i wskazałem paluchem na zeszytowej okładce swoje odkrycie. Po jakimś czasie zostałem zwolniony z lekcji i zapakowany do milicyjnego „gazika”, znaną mi już od dawna „cygańską drogą” zjechaliśmy z sowlińskiego mostu do mojej „kopalni złota”. Ku memu zdziwieniu, jeden z milicjantów, nie okazując strachu wsadził granat do torby, po czym odwieźli mnie z powrotem do szkoły. Zacząłem powątpiewać czy był to prawdziwy granat, ale po paru dniach kierownik szkoły wręczył mi uroczysto jakąś książkę z dedykacją od MO z podziękowaniem za roztropne zachowanie. Widocznie była to jakaś nietrafiona, nieciekawa lektura, bo nie zapamiętałem jej tytułu.

Po latach, mój starszy kolega po fachu, Andrzej Biedroń wspominał, że pod koniec okupacji, którą spędził u dziadków „Na Mizgałowce”, obserwował z „pagórka”, jak niemieccy żołnierze „łapiąc ryby” obrzucali je granatami z góry starego sowlińskiego mostu. Stąd też uwierzyłem, że w szkolnych latach odnalazłem jeden z tych niemieckich granatów, który

nie zdetonował. W czasach okupacji, obiektów Rafinerii strzegły uzbrojone posterunki. Jeszcze wiele lat po wojnie, za budynkiem po prawej stronie bramy wjazdowej, gdzie mieściło się biuro ojca, sterczał poniemiecki, betonowy, okrągły bunkier przykryty takąż kopułą, z otworem strzelniczym skierowanym w poprzek tejże drogi. Nie potrafię teraz określić, komu przeszkadzał i kiedy kazano wyburzyć ten militarny relikwiarz przeszłości.

Zapamiętany rysunek ze szkolnego zeszytu i widok mego znaleziska utkwili mi głęboko w pamięci.

Nie było to moje jedyne militarne nadrzeczne odkrycie. W 1987 r. udało mi się odnaleźć przy ujściu Sowlinki do Łososiny, żelazny kiścień (cep bojowy) datowany przez fachowca z Muzeum Historycznego w Krakowie na późnośredniowieczną broń piechoty. W XV wieku Limanowa jeszcze nie istniała, więc najprawdopodobniej ten artefakt musiał skądś wypłynąć wody rzeki Łososiny.

Opisując moje perypetie z wojskowym granatem, wspomniałem mimochodem o hitlerowskich metodach kłusowniczych i o rybach. Nadszedł więc najwyższy czas poświęcić im choć parę słów. Tym górskim gatunkom naszych ryb, górskiej niegdyś rzeki Sowlinki, którymi urzeczony byłem od dzieciństwa.

Pierwszy zapamiętany obrazek. Do domu przychodzi starszy 13 lat braciśzek, Leszek z kolegami i do maminej miednicy wysypują jakieś obłe, ogoniaste stwory. To były ryby. Po chwili spośród ich odwłoków wypływają jakieś inne wąsate z wielkimi szczypcami. To raki. Początkowo szarobure, nabierały

pięknej czerwonej barwy po wrzuceniu do wrzątku. Bardzo mi smakowały. Po jakimś czasie, gdy już nieco podrosłem, znowu przyszli do brata jego bliscy kolesie. Podśledzałem, że wybierają się na ryby. Bardzo chciałem wziąć udział w tej wyprawie. Braciśzek stanowczo odmówił. Narobiłem histerycznych wrzasków i w końcu za wstawienictwem mamusi powoli ulegli. Za karę musiałem nosić worek, do którego ładowałem wyrzucane przez nich na brzeg ryby. Pamiętam, że okrutnie mnie ganili, gdy któraś z ryb uciekła mi z powrotem do wody. Wróciłem do domu zamęczony ciężarem tego worka, ale bardzo szczęśliwy.

Osiemdziesięcioletni dzisiaj Leszek zabronił mi wspominać nazwisk swoich kolegów „rybaków”, których tą metodą połowów „na rękę” sam ich i mnie w dzieciństwie zaraził. Powoli zaczynałem samodzielnie doskonalić te umiejętności, rozpoczynając od nieruchawych ślizów i główaczy babek, przyczajonych na kamienistym dnie rzeki. Później moim „łupem” padały zwinne kolorowe strzelbelki. To była dziecinna zabawa. Nikt tych wdzięcznych rybek nie krzywdził. Lecz w miarę dorastania, rosły również nasze apetyty na większą zdobycz. Sowlinka była jeszcze górską dziką rzeką. Często wylewała z brzegów nawiedzana rwącymi spływami „wielkiej wody”. W samym dolnym biegu rzeka powodowała wiele szkód. Podmywała i obalała nadbrzeżne drzewa. Niektóre z nich gospodarze sami ścinali w wodny nurt, mocując je uprzednio solidnymi linami do sąsiednich pni.



Pierwsze rejsy nurtem Sowlinki - pośrodku bohater wspomnień.



Wędkarskie połowy nad podmytym brzegiem Sowlinki.



Miały doraźnie ochraniać podmywane brzegi jako odboje. Najczęściej w tych zagrożonych miejscach konstruowano faszynowo – kamienne ostrogi. Przy wszystkich tych „zaporach” tworzyły się wodne niecki pełne kryjówek, ulubione siedliska górskich ryb. To były również nasze ulubione tereny łowieckie, gdzie łupem padały jelce, klenie i pstrągi potokowe. Ościste brzanki mieliśmy w pogardzie. Były jeszcze szlachetne raki, które gnieździły się w gliniasto – iglastych przybrzeżnych norach „Pod Pycem”. Aby przynieść z takiej rybackiej wyprawy „małe co nieco” na kolację, trzeba było wykazać się nie lada sprytem i uporem.

Niewielu miałem kolegów biegłych w tej profesji.

Zdaję sobie sprawę, że z dzisiejszego punktu widzenia, uprawiany przez nas proceder należałoby zakwalifikować jako obrzydliwe, karygodne kłusownictwo. Proszę jednak o odrobinę wyrozumiałości. To były czasy przełomu lat 50. i 60. Wszyscy byliśmy nieletnimi podrostkami, a rzeki nikt nie pilnował. Już jako dorośli, pełnoprawny wędkarz odkryłem, że jeszcze przed wojną, za czasów II RP, rzeczne prawa rybackie oparte były na bardzo prostych racjonalnych zasadach. Gdy było więcej osób zainteresowanych rybami konkretnego akwenu, dzielono rzekę na parokilometrowe odcinki, a co kilka lat ogłaszano w starostwie przetarg na odławianie ich zasobów rybnych. Ochrona wód we własnym interesie dzierżawcy, spadała na zwycięzcę przetargu. Dozwolone były wszelkie metody połowowe, z wyjątkiem jak wówczas nazywano „bicia” prądem,

„gluszenia” wybuchami i trucią. Nigdy nie zetknąłem się z jakimkolwiek śladem, by Sowlinka objęta była kiedykolwiek prawem dzierżawy. Stąd wniosek, że my, sowlińscy „łapacze na rękę” nie łamaliśmy nigdy przedwojennych praw połowu ryb. Polski Związek Wędkarski powołano co prawda kilka lat po wojnie. Jego najbliższy, sądecki oddział okręgowy zajmował się jedynie wystawianiem odpłatnych kart wędkarskich. Do Limanowej trafiły dla pierwszych pięciu wędkarzy dopiero w początkach lat 60., staraniem Zygmunta Jońca, ojca mojego szkolnego kolegi „Felka”.

Sowlinka była pełna życia. Nie szkodziło jej wywożenie w ciągu roku kilkunastu furmanek kamiennych otoczaków, bo ciągle uzupełniały je nowe dostawy splukiwane z górskich potoków.

Nasze sporadyczne wyprawy „na ryby” również nie miały wpływu na zauważalny spadek ich populacji. Pod mostem kolejowym i na popularnym w Sowlinach kąpielisku dla dzieciarni przy zwałonej betonowej ostrodze chroniącej lewobrzeżny przyczółek starego, drewnianego mostu drogowego, były dla „ręcznych rybaków” niedostępne. Każdej jesieni cieszył widok uporczywego parcia ławic pstrągów w górę rzeki i w górę dopływających do niej górskich potoków Skrudlaka, Suchego i wielu innych bezimiennych strumyków na swe odwieczne tarliska. Nie honor było w tym okresie pochwalić się rybacką zdobyczą.

## Za rzekę w cień drzew

O fakcie, że stosunkowo niewielka Sowlinka przybierała regularnie postać

groźnej rzeki, świadczy zagospodarowanie jej nadbrzeża, doskonale widocznego na starych mapach. Mieszkańcy unikali zabudowy tych zalewowych terenów, zostawiając je do zagospodarowania przyrodzie. Porastały je nadbrzeżne chaszczce, gęstwy wikliny, wierzbiny, olszyny, a wyżej lub dalej koryta rzeki inne gatunki drzew. Wszystkie te zarośla nazywaliśmy jednym określeniem – „Krzakami”. Wśród tych „Krzaków” ukrywały się gdzieś tam najrozmaitsze ciekawe objekty. W Sowlinach, za rzeką, na prywatnych włościach zwanych „Mizgałówka” rozpościerała się rozległa polana, w sam raz do kopania „gały”. Zapamiętałem z opowieści brata, że służyła starszym chłopcom do rozgrywania tam meczy piłki nożnej. Jednego razu przegonił ich widłami syn gospodarza. Salwowali się ucieczką przez rzekę, razem ze szkolnym duszpasterzem, młodzieńcem jeszcze ks. Władysławem Rysiem, który wziął udział w tych rozgrywkach (1950 r.).

Po latach przypominałem to zdarzenie obrońcy ojcowych włości. Odrobinę zażenowany odpowiedział. „*A kto pozwolił im tarasić nasze pastwisko?*” W latach dzieciństwa na tej polanie zbierałem wraz z Małgosią Udzielanką niezapomniane maślaki do pościąganych z tyłków majteczek. Ze wzgórze nad polaną wykonywano jeszcze przed I i II wojną światową szereg fotografii, wykorzystywanych do najciekawszych kart pocztowych Limanowej z widokiem trój – kominowej Rafinerii Nafty.

Za „piłkarską” polaną zapamiętałem jeszcze resztki drewnianej skoczni narciarskiej, konstrukcji prof. Wietrznego. Teraz na tym miejscu historycznej polany urządzono „strzelnicę sportową”, dawniej LOK, a obok niej „domek myśliwski limanowskiego PZŁ”.

Zaraz za mostem drogowym, pamiędzy Sowlinką a jej dopływem Suchym, wypiętrzał się maleńki, ale tajemniczy, przedzielony tarasem wzgórek nazywany „Kocim Zamkiem”, na którym wypasała się udreka mojego dzieciństwa, koza babci Iwańskiej. Zmuszany byłem przez jakiś czas wypijać tam szklankę wstrętnego, świeżo udojonego, często jeszcze ciepłego, koziego mleka. Widocznie dla utrwalenia tych przeżyć, trafiły do mnie akwarele, stareńkiej chatki babci Iwańskiej, która zauroczyła Jerzego Udzielę.

W samym centrum Sowlin, obszerne zakole rzeki, przed obecnie zdołującym je kościołem pw. św. Stanisława Kostki,



Romantyczne tereny dziecięcych zabaw nad Sowlinką.



Przy wodopoju w krystalicznie czystej Sowlince.



Drewniany most nad rzeką w Sowlinach.

► rozpościerała się okresowo zalewana, wielka gęstwina olbrzymich wiklin, poszatkowana labiryntem ścieżek, prowadzących do ukrytych przed niepożądanym wzrokiem, tajnych schronień. Był to rezerwat, dostępny wyłącznie dla wtajemniczonych.

Kilometr w górę rzeki „Pod tartakiem” rozciągało się jakby wyczarowane w cieniu drzew z Hemingway’a, duże boisko piłkarskie, gdzie przez kilka sezonów obserwowałem zacięte rozgrywki „Limanovii”. Największe emocje budziły lokalne „derby” z „Harnasem” Tymbark. Ten nieogrodzony, trawiasty „stadion” cieszył się dużą sympatią kibiców – nie było biletów wstępu. W drugiej połowie lat 60. spore zainteresowanie wzbudzały międzyszkolne rozgrywki LO – LP. Co prawda tartak już dawno nie istnieje, jego miejsce zajął Szpital Powiatowy, ale to zabytkowe boisko przetrwało do dzisiejszych czasów. I to byłoby wszystko, co skrywały w swej gęstwinie, słynne od pokoleń jak je zawsze nazywano „Krzaki”. Z Sowlin do Limanowej czy też odwrotnie, prowadziły od zawsze dwa pieszne szlaki. Przed wprowadzeniem miejskiej komunikacji chodziło się do wyboru; drogą albo „Krzakami”. Te ostatnie cieszyły się większą popularnością wśród młodzieży, szczególnie od 1963 r., po przeprowadzeniu w ich pobliżu limanowskiego ogólniaka. Olbrzymie powodzenie miały nadbrzeżne zarośla wśród wagarowiczów. Wracający „Krzakami” po lekcji koledzy zawsze zdawali relacje z przebiegu ostatnich zajęć i tematów

zadanych prac domowych. Bliscy koledzy do dzisiaj z rozrzwiniem wspominają swe spacerki po „Krzakach” ze szkolnymi koleżankami czy też sympatiami. Wielkim powodzeniem cieszyły się także panienki zamieszkujące po sąsiedzku z ogólniakiem w żeńskim internacie Liceum Pedagogicznego.

Niestety wszystko ma koniec. Jeszcze w latach 60. zapadła decyzja „Ujarzmić tę niesforną rzekę”. Jeszcze za naszych szkolnych czasów ruszyły roboty. Od góry rzeki zaczęto w jej korycie budować potężne, betonowe, jak je nazywali hydrotechnicy, stopnie korygujące spadek wody.

Poprosiłem syna, Oskara, byłego członka kadry narodowej i reprezentanta Polski w niszowej co prawda dyscyplinie sportowej „wędkarstwie muchowym”, którego zdążyłem jeszcze wychować nad dolnym odcinkiem Sowlinki, żeby uzupełnił mój opis swoimi spostrzeżeniami. Skwitował moje zabiegi krótkim stwierdzeniem: „*To co przepływa przez Limanową nie przypomina już żadnej górskiej rzeki, jak i szereg innych na Podhalu, zniszczonych bezmyślnie ręką człowieka*”.

Faktycznie! Rzeka Sowlinka coraz częściej jest degradowana. Spowalniające stopnie zamieniły jej wartki niegdyś nurt w leniwy ciek wodny. Wielu znajomych powątpiewa, czy wycięcie jej nadbrzeżnych, urokliwych „Krzaków” i zastąpienie ich asfaltową nawierzchnią dodało jej uroku. Betonowe koryto rzeki kończył ostatni stopień wodny pod mostem drogowym w Sowlinach. Okresowe „wielkie

wody” nie niosły już w swym nurcie rumoszu skalnego. Efekt – typowe zjawisko hydrologiczne – erozja wgłębna, która doprowadziła poniżej mostu do pogłębienia dna rzeki nawet o kilka metrów. Runęła w otchłań nadrzeczna stara kapliczka, strzegąca niegdyś Rafinerii od strony mostu kolejowego.

Broniły się jeszcze resztki potężnych niegdyś progów skalnych. Dopiero po powodzi 1997 r. rozpoczęto ratowanie przyujściowego koryta rzeki. Przy okazji udało się uratować rozłupany buldożerem, płaski fragment z tych historycznych skał, przegradzających od zawsze, w tym miejscu, Sowlinkę mojego dzieciństwa. Zdobi teraz rodzinny ogródek jako blat wielkiego stołu.

Niestety, nie przypuszczam żeby kiedykolwiek jeszcze ruszyły w górę Sowlinki na tarło i odnalazły swe dawne siedliska nasze endemiczne pstrągi potokowe. Coś za coś. Limanowa zyskała kosztem rzeki powiększenie terenów pod zabudowę. Dlatego też, ten kamienny blat stołu z Sowlinki traktuję z uszanowaniem jak tablicę pamiątkową rzeki z filmu Barańskiego – RZEKI, KTÓREJ NIE MA.

**Fotografie: arch. Marka Pankiewicza, „Echa Limanowskiego”**

# Szkoły średnie w powiecie limanowskim

W okresie międzywojennym w powiecie limanowskim nie było żadnej średniej szkoły ogólnokształcącej. Młodzież pragnąca się kształcić po ukończeniu szkoły podstawowej kontynuowała edukację w Nowym Sączu, Tarnowie, Bochni, Myślenicach, czasem w Krakowie, ale to wymagało sporych nakładów finansowych. Uboższe rodziny nie mogły nawet marzyć o tym, by opłacić czesne i zapewnić stancję dziecku.

Nawet lepiej sytuowani rodzice z kilkorga dzieci wybierali jedno najzdolniejsze i kształcili je kosztem pozostałego potomstwa.

Brak średniej szkoły obniżał rangę miasta i źle wpływał na jego wizerunek. Nawet do prac administracyjnych w urzędach trzeba było szukać kandydatów poza Limanową, bo u nas brakowało odpowiedniej kadry.

Dlatego też już w latach trzydziestych minionego wieku zrodziła się koncepcja zorganizowania w naszym mieście średniej szkoły ogólnokształcącej. Myśl była przednia, dlatego też znalazła wielu zwolenników.

Jej realizacja wymagała jednak znacznych nakładów finansowych, a tych nie mieli gospodarze powiatu, chociaż popierali samą ideę.

Sprawa się przeciągała, a wybuch II wojny światowej spowodował, że trzeba było ją przesunąć na powojenne czasy.

Nie zapomniano o niej, nie skreślono, tylko przesunięto w czasie. Zaczęto natomiast do dalszej nauki przygotowywać młodzież. I tu ukłon w stronę pedagogów, którzy mimo hitlerowskiego reżimu prawie w kilka tygodni po wkroczeniu wroga, zaniknięciu szkół średnich i wyższych rozpoczęli najpierw niezorganizowane, a potem zorganizowane nauczanie w ramach Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON).

TON nie pozwolił na to, by chcąc zdobywać wiedzę młodzież straciła kilka lat w oderwaniu od nauki.

Do pracy włączyli się nauczyciele, młodzież wyższych uczelni, inteligencja, duchowni i mimo gróźb ze strony okupanta nie wycofali się z podjętej drogi.

To dzięki bohaterskim pracownikom TON już w 1943 r. przeprowadzono w Limanowej pierwszą maturę.

Uczniowie tajnego nauczania stali się

„narybkiem”, bazą Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego, które otworzyło swe skromne podwoje dzięki wysiłkom znanych pedagogów p. Antoniego Biedy, p. Stanisława Ceglarza i innych już w styczniu 1945 r. tuż po wyzwoleniu miasta spod okupacji.

„Echo Limanowskie” zamieściło na ten temat kilkanaście artykułów, z którymi warto się zapoznać. Otwarcie gimnazjum i liceum w Limanowej to data godna zapamiętania, bo wymieniona szkoła cieszyła się uznaniem i popularnością od samego początku.

Wykształciła parę tysięcy młodych ludzi, otworzyła im drogę do zdobywania dalszej wiedzy i pełnienia odpowiedzialnych stanowisk.

To dzięki doskonałym podstawom otrzymanym w limanowskim liceum my mieszkańcy tego grodu możemy się szczycić wieloma naukowcami pochodzącymi z Ziemi Limanowskiej, którzy pracują w różnych dziedzinach – w uczelniach, przemyśle, w budownictwie, wojsku, polityce, literaturze, medycynie, sztuce i wielu innych. Choć początki były trudne, dalsze lata przyniosły sukcesy. Wielu wybitnych i odpowiedzialnych nauczycieli cały swój zawodowy los związało z Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej i pozostało w dobrej pamięci wdzięcznych uczniów.

## Średnia szkoła ogólnokształcąca w Ujanowicach

Inicjatorką i organizatorem tajnego nauczania w gminie Ujanowice była Zofia Oleksy – absolwentka polonistyki

ukończonej w UJ. Wymieniona w latach międzywojennych uczyła w Nowym Targu, a potem w Seminarium Nauczycielskim i II Liceum Ogólnokształcącym w Nowym Sączu.

Po wybuchu wojny i zamknięciu szkół średnich znalazła schronienie w rodzinnej Żmiącej i tutaj włączyła się do organizowania tajnego nauczania we wszystkich miejscowościach gminy. Jej współpracownikami zostali – Wincenty Zelek (UJ) i Tomasz Kołodziej. Wysiłki nauczycieli zostały uhonorowane maturą, którą 6 sierpnia 1945 r. zdało 13 osób.

Organizatorce tajnego nauczania udało się przy pomocy księży: Władysława Smreki i Bernardyna Dziedziaka otworzyć 1 września 1945 roku Samorządowe Gimnazjum Ogólnokształcące w Ujanowicach, będące filią I Gimnazjum w Nowym Sączu.

Przedstawiciel Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego – wizytator Nowakowski po analizie przedstawionego planu rejonu szkolnego obejmującego następujące miejscowości: Ujanowice, Żmiąca, Jaworzna, Sechna, Krosna, Kobyłczyna, Kamionka, Żbikowice, Wronowice, Łososina Dolna, Michałowice i Iwkowa – wyraził zgodę na utworzenie takiej placówki i obiecał w przyszłości nadać jej prawa publiczne, co rozwiązałoby jej sprawy finansowe. Było to ogromnie ważne, bo wymienione miejscowości należały aż do trzech powiatów: limanowskiego, brzeskiego i nowosądeckiego.

Po otrzymaniu zgody na otwarcie szkoły Zofia Oleksy została oficjalnie powołana na jej dyrektora i energicznie przystąpiła do skompletowania grona nauczycielskiego. Ze względu na brak osób przygotowanych do pracy w szkole średniej oparła się głównie na wypróbowanych i odpowiedzialnych pedagogach, którzy uczyli młodzież w konspiracji.

Byli to m.in.: Tomasz Kołodziej, Wincenty Zelek, Ludwik Zelek, Stefan Kloss, Wincenty Uryga i księża: Bernardyn Dziedziak, Piotr Stach, Józef Nowak, i Paweł Śliwa. Wymienieni duchowni oprócz religii uczyli wszystkich przedmiotów świeckich. ►



Najmłodszy uczestnicy zespołów samokształceniowych w Gimnazjum Samorządowym w Ujanowicach po wyzwoleniu.

Sprawy lokalowe udało się rozwiązać tylko dzięki pomocy ks. dziekana Bernardyna Dziedziaka, który na potrzeby szkoły oddał pomieszczenia w dwóch budynkach należących do plebani i w Domu Parafialnym za symboliczną złotówkę. Nie brał też żadnej gratyfikacji za pracę pedagogiczną. Przysługujące mu pobory przeznaczał dla najuboższej młodzieży, której nie było stać na pokrycie czesnego.

W pierwszym roku nauki uczęszczało do szkoły 155 uczniów, w następnych latach ilość uczniów wzrastała. W ostatnim roku istnienia szkoły wynosiła 200 osób.

Coroczne wizytacje szkoły przeprowadzane przez pracowników Kuratorium potwierdzały wysoki poziom nauczania osiąganego dzięki bardzo odpowiedzialnym pedagogom i wymagającej od siebie i pracowników p. dyrektor.

W 1947 r. władze oświatowe odgórnym zarządzeniem przekształciły Gimnazjum w Ujanowicach w Szkołę Ogólnokształcącą Stopnia Licealnego.

Spodziewano się wówczas wielu pozytywnych zmian, ale do akcji przystąpiły władze komunistyczne, które zmusiły do rezygnacji z pracy p. dyrektor Zofię Oleksy i jej najbliższych współpracowników – Wincentego Zelka, absolwenta UJ (ukończył matematykę i fizykę) oraz Tomasza Kołodzieja wybitnego humanistę i znawcę literatury, romanistę, który przed wojną pracował w Państwowym Gimnazjum i Liceum w Gnieźnie.

Zawierucha wojenna rzuciła go w rodzinne strony. Tu włączył się do tajnego nauczania po wojnie na prośbę pani

dyrektor został, by pomóc w organizacji nowej szkoły, a teraz stał się niepotrzebny.

Dzięki osobom oddanym sprawie oświaty, mimo prymitywnych warunków lokalowych, braku pomocy dydaktycznych, podręczników, młodzi ludzie zdobywali wiedzę.

Solą w oku władz politycznych było to, że wśród kadry nauczycielskiej znalazło się kilku kapłanów, którzy zdecydowali się uczyć, bo brakowało kadry, oraz to, że młodzież korzystała z pomieszczeń parafialnych, a to już było niewybaczalne. Ideologiczne sprawy stały się ważniejsze niż dobro sporej gromady uczniów.

Nowym dyrektorem szkoły został Józef Gomółka z Nowego Sącza i pełnił powierzoną mu funkcję do 1951 roku.



Gimnazjum Samorządowe w Ujanowicach powiększa swe szeregi.

W 1950 r. Ministerstwo Oświaty upaństwowiło placówkę i nadało jej nazwę – Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego w Ujanowicach. Wydawało się, że to już koniec kłopotów finansowych, bo podstawowe wydatki bieżące, płace nauczycielskie i administracyjne będą zagwarantowane w budżecie, a młodzież nie będzie płacić czesnego.

Szczęście trwało krótko. Władze polityczne postanowiły uderzyć z innej strony.

Do tej pory egzaminy maturalne odbywały się pod przewodnictwem wizytatora szkolnego wyznaczonego przez Kuratorium, a ich wyniki były pomyślne i świadczyły o dobrym przygotowaniu uczniów.

W 1952 r. stała się rzecz niebywała. Władze oświatowe odsunęły miejscowych nauczycieli od matury i przysłały obcą komisję nie znającą warunków pracy szkoły i nauki młodzieży. Ponadto przybyli egzaminatorzy w ostatniej chwili odrzucili pytania maturalne przygotowane przez szkołę. Wprowadzili własne, bardzo trudne, niektóre prawie uniwersyteckie. Surowe miny, ogromny dystans do uczniów, traktowanie ich „z góry” wpłynęło na to, że skromni wiejscy uczniowie stracili głowę. Dotknęło to zwłaszcza najlepszych uczniów, którym zależało, by się pokazać z dobrej strony.

Na 34 przystępujących do egzaminu, tylko 10 zdało pozytywnie, 24 odpadło. Zdali przeciętni, jeden bardzo słaby. Zwykle przeciętni mniej się przejmują niezwykłą sytuacją i przewidują niepowodzenie. To im pozwala trzymać nerwy na wodzy.

Feralnej komisji przewodniczył dyrektor liceum w Myślenicach p. Łukacz, a prawdziwym postrachem był Marian Deszcz późniejszy profesor literatury powszechnej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie.

Los szkoły został wówczas przesądzony. Ostateczna likwidacja nastąpiła 31 sierpnia 1952 r.

Władze polityczne były usatysfakcjonowane. Pokonały „hydrę”, a że przy okazji skrzywdziły sporą grupę młodzieży, której odcięto drogę do wiedzy, to już tylko mały wypadek przy pracy.

Siedmioletnia dobra passa młodzieży ujanowickiej przeszła do historii. Tylko niewielka grupa młodzieży kontynuowała naukę w Limanowej lub Nowym Sączu. Żadne z wymienionych miast nie mogło przyjąć tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego prawie 200 nowych uczniów. Nie było pomieszczeń, kadry, pieniędzy. Młodzi nie mieli „za co” się uczyć, a po smutnych doświadczeniach brakło też odwagi, by zaczynać od nowa z dala od domu.

Warto jeszcze wspomnieć o drobnym szczególe dotyczącym szkoły średniej w Ujanowicach.

Po likwidacji placówki jeszcze przez 7 miesięcy przychodziła do niej urzędowa korespondencja – Dzienniki Urzędowe, pisma, znaczki z Ministerstwa Oświaty. Świadczy to o tym, że decyzję o likwidacji szkoły podjęły władze niższego stopnia, nie powiadamiając resortu. Uczynił to „ktoś”, komu ona bardzo przeszkadzała.

## Gimnazjum i liceum w Mszanie Dolnej

Ambicje otwarcia średniej szkoły ogólnokształcącej mieli też mieszkańcy urokliwego miasteczka – Mszana Dolna.

Zamiar udało się zrealizować kilka dni po wyzwoleniu spod wrogiej okupacji. Grunt pod otwarcie takiej placówki stworzyli, jak przeważnie działo się wówczas, głównie nauczyciele i inne osoby, które uczestniczyły w tajnym nauczaniu m.in. dr Sebastian Flizak, Bronisława Szczepaniec, Julian Toliński.

Z tajnego nauczania korzystała nie tylko młodzież Mszany Dolnej, lecz także okolicznych wiosek. Rozpoczętą w czasie wojny pracę edukacyjną należało kontynuować w wolnej Polsce, by otworzyć przed młodymi nowe możliwości rozwoju.

W gmachu Sądu Grodzkiego przy ulicy Jana Matejki w Mszanie Dolnej odbyła się w styczniu 1945 r. inauguracja pierwszej w historii miasta szkoły średniej: – 4 – letniego gimnazjum i 2 – letniego liceum o kierunku humanistycznym.

Dyrektorem placówki został dr Sebastian Flizak zasłużony dla tej ziemi nauczyciel i etnograf, który w nowo otwartej szkole uczył łaciny, języka niemieckiego oraz filozofii. Wielkim wydarzeniem była pierwsza matura w maju 1949 r. Abiturienti tego znamienego roku dobrze zapisali się w historii miasta. Po ukończeniu studiów zostali inżynierami różnych specjalności, lekarzami, prawnikami i duchownymi.

Niestety gimnazjum i liceum w Mszanie Dolnej miało krótką historię. Istniało zaledwie 5 lat. Zlikwidowano je, jak podano w uzasadnieniu „z powodu braku własnego, do wymagań szkoły dostosowanego lokalu”.

Jakby na ironię losu w 2 miesiące po wydaniu tej decyzji Sąd Grodzki przeniesiono do Limanowej. Pozostał po nim budynek, który można było remontować, przerabiać, adaptować, ale było już za późno.

Przez pewien czas w mieście nie było żadnej szkoły średniej.

Dopiero w 1968 r. otwarto Zasadniczą Szkołę Leśną, w kilka lat później Zasadniczą Szkołę Zawodową, zaś Liceum Ogólnokształcące we wrześniu 1990 r. Do tego czasu młodzież pragnąca pobierać naukę w Liceum Ogólnokształcącym musiała dojeżdżać do Rabki lub Limanowej.

## Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące w Szczyrzycu

Już w styczniu 1940 r. w Szczyrzycu i pobliskich miejscowościach rozpoczęto tajne nauczanie w zakresie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego. Inicjatorem, „duszą” tego nauczania był ks. dziekan pułkownik Antoni Matejkiewicz, który w swoim własnym domu skoncentrował tajną działalność oświatową i nawiązał kontakt z Okręgową Komisją Oświaty i Wychowania w Nowym Sączu będącą bezpośrednim łącznikiem z Departamentem Oświaty i Kultury Delegatury Rządu Emigracyjnego w Londynie.

Nauka odbywała się w prywatnych domach nauczycieli, często rodziców lub osób „dobrej woli”, które miały odwagę służyć w tych ciężkich czasach wielkiej sprawie edukacyjnej. Prowadzenie tajnego ośrodka kształcenia powierzono kierownikowi szkoły podstawowej Henrykowi Rogalińskiemu.

Egzaminy kończące naukę w każdej klasie odbywały się w tzw. „Dziekanówce”, czyli w domu ks. płk. Antoniego Matejkiewicza. Przewodniczył im Ignacy Kwieciński – kierownik Okręgowej Komisji Oświaty i Kultury w Nowym Sączu.

Nieocenioną pomoc niesło Opactwo OO. Cystersów, udostępniając lokal na zajęcia i egzaminy.

(ciąg dalszy na stronie 50)



Uczestnicy zjazdu absolwentów Liceum w Szczyrzycu.

# Wspomnienia Alicji Łuka z domu Wrona – cz.3

## Wyjazd za granicę (na dalsze studia)

### Okres szwajcarski (Bazylea) – Lata 1985-1988 (praca operowa i działalność koncertowa)

11 września 1985 roku stopy moje i mojego męża dotknęły bruku szwajcarskiego. Pojechalśmy pociągiem z Krakowa przez Monachium do Bazylei, która była pierwszym miastem, w którym się zatrzymaliśmy. Zamiarem naszym było dostanie się na studia poddyplomowe. W moim przypadku było to Studio Operowe przy teatrze Operowym i Wyższej Szkole Muzycznej w Bazylei, w przypadku mojego męża była to klasa Mistrzowska Organów w Zurychu, którą prowadził organista głównej Katedry Grossmunster i zarazem prof. klasy organów Akademii Muzycznej w Zurychu Rudolf Scheidegger. Obydwa egzaminy miały charakter międzynarodowych konkursów. Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy mogli zaraz po przyjeździe złożyć egzaminy i zacząć studia. Otóż daty egzaminów, które dostaliśmy w informacji, okazały się zupełnie inne. Obydwa konkursy miały się odbyć na początku września, a prawdziwą ich datą był początek października. Można sobie wyobrazić nasze rozczarowanie, kiedy usłyszeliśmy, że na konkursy musimy czekać cały miesiąc...!

Na szczęście w domu wspomniałem człowieka – Szwajcara, rektora gimnazjum na Kohlenbergu, na prośbę naszych znajomych z Krakowa prof. Zbigniewa Lewandowskiego i Jego żony Ireny znaleźliśmy wsporną mieszkanie. Pan Rektor Werner Oberle od samego początku naszego pobytu w Bazylei bardzo się nami opiekował. Był dla nas bardzo miły i obdarowywał nas wszelką pomocą, o którą poprosiliśmy. Zapraszał nas na obiady lub kolacje, a kiedy spostrzegł, że sami sobie radzimy, dał nam wolną rękę.

Nie było to także łatwe, ponieważ nasze zasoby pieniężne były znikome. Jednak z pomocą Bożą i dobrych ludzi doczekaliśmy do egzaminów konkursowych. Tak bardzo chcieliśmy się dostać na studia, że nie wyobrażaliśmy sobie, że może nam się w konkursie coś nie powieść. A wygrywał tylko jeden... W przypadku konkursu operowego osobą, która wygrała, byłam ja; w konkursie organowym zwyciężył mój mąż Andrzej. Studia Operowe w Bazylei trwały 3 lata, Mistrzowskie Studia Organowe w Zurychu – cztery.

Po konkursie zaraz zaczęły się wykłady. Bardzo się z nich cieszyłam, jednak w moim przypadku, osoby, która cały czas uczyła się w szkołach języka rosyjskiego i angielskiego, można by pomyśleć, że Szwajcaria, w której mówi się czterema językami: niemieckim, francuskim, włoskim i retoromańskim, była wyborem na pozór chybnym. Pierwsze miesiące były bardzo trudne ze względu na moją prawie całkowitą nieznajomość języka niemieckiego. W tym czasie pomagał mi bardzo (w języku niemieckim) mój mąż Andrzej. Chodził ze mną na wykłady i ćwiczenia, tłumaczył na język polski i jeszcze powtarzał ze mną materiał w domu. Po jakimś czasie zaczęłam rozumieć i mówić po niemiecku. Jakież to było ułatwienie! Trudno to opisać...



Alicja Łuka z mężem Andrzejem przed kościołem św. Tomasza w Zurychu.

Z Bazylei wyniosłam gruntowne wykształcenie jako śpiewaczka, jak również zdobyłam cały repertuar operowy i koncertowy. Na szczególną uwagę z moich profesorów zasługują solistka opery w Budapeszcie i Zurychu, profesorka śpiewu Ewa Krasznai – Gombos oraz korepetytor i akompaniator repertuaru Rainer Altorfer. Z panią Krasznai rozumiałyśmy się od zaraz. Pan Altorfer był bardziej powściągliwy, ale od zaraz docenił mój talent i pracował nad nim bardzo gruntownie. Dzięki przede wszystkim tym dwóm osobom w ciągu 3 lat studiów operowych zrobiłam nieprzećnięty repertuar: 30 arii operowych i koncertowych z zakresu pieśni i oratorium oraz około 20-tu (w sumie) całych oper, oratoriów i mszy wokalnie – instrumentalnych. Teraz, gdy pomyślę o tym, ile udało mi się nauczyć, sama jestem zdziwiona.

Moimi najbardziej ulubionymi kompozytorami oper są: G. Bizet, C. Saint-Saens, G. Donizetti, R. Wagner i G. Verdi. Kompozytorami oratoriów i mszy: G.F. Handel, W.A. Mozart, C. Saint-Saens. 3 lata w Bazylei, dzięki tak wspornym profesorom i niezapomnianemu panu Rektorowi Wernerowi Oberle, minęły bardzo szybko.

Pewnego popołudnia, będąc w Teatrze Bazylejskim, spotkałam na korytarzu bardzo miłą Panią. Pracowała chyba w sekretariacie. Stałyśmy obydwie naprzeciw siebie, czekając

na windę. W pewnym momencie ta miła osoba spojrzała na mnie i powiedziała: „Rok 1988 przyniesie pani szczęście”. Podziękowałam Jej za dobre słowo i zaczęłam się zastanawiać, co to mogłoby znaczyć? Była wiosna rok 1988. Przede mną egzamin końcowy w Studio Operowym, a dalej co? Otóż nie trzeba było długo czekać. Na konkursie w czerwcu na stanowisko śpiewaczki Teatru Operowego w Zurychu okazało się, że byłam najlepszą kandydatką i zostałam od sierpnia zatrudniona na etat.

Niemal z cudem graniczy znalezienie mieszkania w Zurychu, którego dokonaliśmy dzięki znajomym z Bazylei w ciągu jednego przedpołudnia. Od tego czasu zaczął się wielki świat bajki operowej.... Nie wspominałam jeszcze bardzo ważnego aspektu naszych bazylejskich studiów. Otóż po międzynarodowym konkursie mój mąż Andrzej dostał pracę jako główny organista w kościele św. Tomasza w Bazylei. Dzięki jego zarobkom ja mogłam studiować śpiew, a On organy.

Praca w Zuryskiej Operze była imponująca. Śpiewałam z takimi geniuszami operowymi jak: Placido Domingo, Jose Carreras, Piotr Beczała, Roberto Alagna, Francisco Araiza, Giorgio Zancanaro, Thomas Hampson, Nicolai Giurow etc., a także z paniami jak: Edyta Gruberowa, Lucia Popp, Cecilia Bartoli, Mirella Freni, Elena Obrazcowa, Stefania Kałuża oraz z wielu, wielu innymi. Z dyrygentów, z którymi rozumiałam się najlepiej, byli genialni Maestro Nello Santi oraz Maestro Raphael Frubeck de Burgos, Franz Welsch-Möst,

najpierw szef Orkiestry Opery Zuryskiej, potem szef artystyczny Opery Zuryskiej, a następnie dyrektor muzyczny Opery Wiedeńskiej.

W 1990 r. na świat przyszła nasza najukochańsza, jedyna córeczka – Moniczka i jednocześnie mój mąż został profesorem fortepianu w Konserwatorium Zuryskim. Były to bardzo piękne, a czasem ciężkie czasy ze względu na nadmiar pracy.

Bardzo wielką wdzięcznością i pamięcią otaczamy moją niezyczącą już Mamusię – Genowefę Wronową (1928-2015), która przyjeżdżała do nas, kiedy tylko mogła, żeby pomóc nam w wychowaniu córeczki i rozmawiając z nami piękną polszczyzną, przyczyniała się do tego, że teraz nasza 27-letnia już córka Monisia mówi i pisze bezbłędnie po polsku, a także niemiecku, szwajcarsku, angielsku i japońsku. Mamusia mojego męża Babcia Marysia oraz siostra Andrzeja Barbara Lucyna Kozak również bardzo nam pomagały w wychowaniu Moniczki. Nasza córeczka jest bardzo utalentowaną rysowniczką komiksów japońskich (dyplomowaną przez monachijską szkołę). Jej prace były kilkakrotnie wydawane w Japonii.

Mój mąż po pracy w kościele św. Tomasza w Bazylei objął miejsce jako główny organista i dyrygent chóru w kościele św. Tomasza w Zurychu. Tak w Bazylei – mieście położonym nad Renem, jak i w Zurychu, największym mieście Szwajcarii, położonym nad Jeziorem Zuryskim, zostaliśmy dobrze przyjmowani i wszędzie doceniano naszą pracę. (Oby tak dalej...) ▶



„Carmen” - G. Bizet. Akt. I



Cyganka, Giuseppe Verdi, „Moc przeznaczenia”.

## Działalność koncertowa

▶ Równocześnie z działalnością operową uprawialiśmy działalność koncertową tak w Krakowie, jak i w Bazylei, i Zurychu, przeplatając ją gościnnymi występami operowymi i koncertowymi w Polsce i Szwajcarii, a także poza granicami tych krajów. Byliśmy pierwszym *duo* wokально-operowym, które rozpoczęło doroczne koncerty w kościołach: w Limanowej i Limanowej-Sowlinach. Chciałabym tu wspomnieć panią Jadwigę [Wisię] Kozdruń, która była moim mecenasem sztuki. Otóż przez cały okres uczęszczania do Szkoły Muzycznej I stopnia w Limanowej uiszczała ona opłatę na Komitet Rodzicielski, aby odciążyć moich Rodziców. Była ona spokrewniona z Rodziną Jaworzów-Dutków, której senior Julian<sup>1</sup> bardzo starannie śledził naszą karierę operową i koncertową i pisał recenzje z naszych limanowskich koncertów w „Gazecie Limanowskiej” i „Mater Dolorosa”<sup>2</sup>.

Nasze główne koncerty kościelne były związane z bardzo ważnymi świętami: były to: festiwale wokально-organowe (Kraków – 4 koncerty w kościele Mariackim, Tyniec – 3 koncerty nawet połączone z nagraniem do Telewizji Katowickiej), Gdańsk-Oliwa, kościół św. Brygidy oraz Gdynia-Rumia. We wszystkich tych koncertach dostawaliśmy owację na stojąco. Także ja śpiewałam, mąż grał w pięknym kościele w Kołobrzegu; zostaliśmy tam zaproszeni przez Filharmonię Bałtycką. W prawie wszystkich tych koncertach byłam śpiewaczką i rejestratorką organów. Wyjątek stanowiła Katedra Oliwska, gdzie rygorystycznie odbywały się tylko koncerty organów solo. Każde z danych nam do dyspozycji organów rejestrowaliśmy inaczej, zgodnie z typem instrumentu i wykonywanego programu. Najbardziej i najsumienniej wzięliśmy się do pracy w Oliwie. Było to trudne ze względów czasowych, ponieważ w katedrze codziennie odbywały się długie, żarliwe modlitwy oraz niezliczone wycieczki oglądały tę piękną świątynię. Do pracy pozostawał tylko wieczór, kiedy katedra była zamknięta. Prawie trzy wieczory po 2 godziny pracowaliśmy nad instrumentacją. Ale opłaciło się bardzo. Andrzej zagrał Recital organowy tak pięknie, że tym razem wycieczki słuchaczy przychodziły na chór, żeby Mu pogratulować, a jedna z sióstr zakonnych powiedziała: „Mistrzu, Pan tak pięknie grał, że słuchając byłam w niebie”.

Jeżeli chodzi o mnie, to nie oczekiwałam żadnych pochwał, bo przecież nie byłam solistką recitalu. Jednak jakże miłe było dla mnie zaskoczenie, kiedy dyr. Oliwskiego Festiwalu Organowego, prof. Leon Bator, wskazując na mnie, powiedział: „Pani jest najlepszą rejestratorką organową na świecie”. Zaraz po tym organmistrz, od 33 lat przygotowujący organy oliwskie do każdego koncertu powiedział: „Już od 33 lat jestem w Oliwie na każdym koncercie, ale nie słyszałem jeszcze nigdy, żeby te organy tak brzmiały...”.

Z wielką radością występowaliśmy w katedrze Tynieckiej, w krakowskim kościele Mariackim, Bazylice św. Małgorzaty w Nowym Sączu, w Bielsku-Białej<sup>3</sup>. Tutaj również dostawaliśmy owację na stojąco prawie po każdym utworze. Publiczność zawsze dopisywała. Szczególnym balsamem dla naszego serca było to, że prawie cała nasza rodzina zjeżdżała się do Tyńca czy Krakowa i uczestniczyła w koncertach.

Chciałabym tu wyrazić serdeczne wyrazy podziękowania dla Cioci Loli i Wujka Edwarda Jałoszewskich, którzy za każdym razem przygotowywali dla nas i naszej publiczności wspaniałe przyjęcie. Dziękujemy im za dobre serca



„Zemsta nietoperza”, Johann Strauss.

i nieprzeciętną pracą, a mojemu bratu Józefowi Szymonowi i bratowej Elżbiecie Jałoszewskiej-Wrońskiej za wspieranie zakupów gotówką pieniędzy, a mojej siostrze Danusi i jej mężowi Czesiowi Lebdom za pomoc okazywaną w przygotowaniu poczęstunku i podejmowaniu gości. Za każdym razem naszego pobytu w Krakowie gościny użyczała nam rodzina mojej siostry i szwagra Helena i Marek Polańscy, za co jesteśmy im bardzo wdzięczni.

W roku 1995 został nakręcony przez Telewizję Katowicką film o moim mężu, mnie i naszej córeczce Moniczce. Film bardzo udany, często pokazywany jest przez telewizję.

Koncerty w Szwajcarii dawaliśmy jako cykl koncertów trwający 22 lata w Thomaskirche najpierw w Bazylei, a potem w Thomaskirche w Zurychu. Głównymi filarami cyklu były koncerty w Wielki Piątek, Dzień Modlitwy i Pokuty oraz najbardziej uczęszczane i ulubione koncerty kolęd (w tym kolęd polskich). Bardzo cieszyliśmy się tymi koncertami i czekaliśmy na nie niecierpliwie tak, jak i nasza niezawodna publiczność.

Występowaliśmy również osobno. Andrzej – z koncertami tylko organowymi, a ja jako solistka z towarzyszeniem chóru i orkiestry. Po naszych koncertach zapraszaliśmy znajomych z Polonii na przyjęcie do naszego domu. Stało się to tradycją. Będący na naszych koncertach i spotkaniach goście z Polski: nasza rodzina oraz księża: m.in. prof. abp Józef Życiński, prof. Zdzisław Kliś, historyk sztuki, mediewista, kard. Józef Glemp, prymas Polski powiedzieli nam, że skupiamy Polonię wokół





Camille Saint-Saëns, „Samson i Dallila”.

siebie i dzięki naszym koncertom: kościelnym, dla Polonii, w Ambasadzie Polski w Bernie, jesteście ambasadorami sztuki polskiej na świecie.

W przyjęciach po koncertach przeważnie brało udział ponad 20 osób i kiedyś jeden z naszych gości powiedział: „Wasze przyjęcia poprzedzone koncertami można porównać jedynie z obiadami czwartkowymi u króla Stasia...”. Koncertowaliśmy w całej Europie, a mój mąż zagrał tournée koncertowe na całym świecie.

Karierę operową czynną zakończyłam w 50 roku życia. Obecnie śpiewam również bardzo rozległy repertuar operowy i koncertowy w kilkunastu językach m.in. polskim, słowackim, czeskim, rosyjskim, włoskim, łacińskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim, angielskim (i jeszcze paru innych). Obecnie ja i mój mąż przygotowujemy się do nagrania nowej płyty z największymi ariami mezzosopranowymi i altowymi z repertuaru francuskiego i włoskiego, jak również nagrywamy płyty z repertuarem w zakresie muzyki religijnej. Z naszego dorobku zasługuje na uwagę może jeszcze i to, że obydwójce (ja i mąż) jesteśmy w „Księdze Limanowian”, a mój mąż także w księdze „Słynni Polacy na świecie”. Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Orawy został wybity medal z naszymi podobiznami (na awersie występuje mój mąż, na rewersie – ja). Autorem i wykonawcą medalu jest prof. Czesław Dźwigaj, autor m.in. pomnika Jana Pawła II przed Bazyliką Limanowską, na Rynku w Nowym Sączu, pomnika Jana III Sobieskiego na Kahlenbergu w Wiedniu w Austrii oraz wielu, wielu jeszcze innych pomników.

Dziękując Redakcji „Echa Limanowskiego” za wydrukowanie moich Wspomnień w trzech odcinkach, słowa wdzięczności chciałabym skierować pod adresem redaktora Stanisława Ociepki oraz pana Dariusza Ociepki, którzy przygotowali tekst i zdjęcia do druku. Wyrażam wdzięczność Czytelnikom „Echa Limanowskiego”, którzy śledzili moją drogę artystyczną poprzez opublikowane Wspomnienia: Dziękuję Bardzo.

**Alicja Łuka – Zurych (Szwajcaria)**  
**Fotografie: arch.: Alicji Łuka**



Piotr Czajkowski - Eugeniusz Oniegin - Olga.

<sup>1</sup> Była siostrą żony Juliana Jaworza-Dutki. Zob. J. Jaworz-Dutka, *Wspomnienie o śp. Helenie Jaworz-Dutka*, „Mater Dolorosa”, R.XVIII:1995, nr 2 (41), s. 15-17.

<sup>2</sup> J. Jaworz-Dutka, *Koncert organowo-wokalny „Ave Maria”*, „Mater Dolorosa”, R.XIX:1996, nr 2 (45), s. 42 – 44; tenże, *Drugi koncert organowo-wokalny w Limanowej-Sowlinach w wykonaniu artystów ze Szwajcarii*, „Mater Dolorosa”, R.XIX:1996, nr 3 (46), s. 51-53.

<sup>3</sup> J. Sz. Wroński (autor wszystkich podanych niżej artykułów), *Koncert w Bazylice Mariackiej* [w Krakowie Alicji i Andrzeja Łuków], „Czas” Krakowski, R.IV:1993, nr 168 (912), czwartek 22 lipca 1993, s. 11; *Nie zapominają o Polsce* [Koncert Alicji i Andrzeja Łuków ze Szwajcarii w Bielsku-Białej w parafii ewangelicko – augsburskiej], „Gazeta KRAKOWSKA” – Expres Polski Południowej, R.XLV:1993, nr 169 (13 781), sobota, niedziela 24, 25 lipca 1993 [bez stronic]; *W nowosądeckiej bazylice św. Małgorzaty – Odpust w Święto Przemienienia*, „Czas” Krakowski, R.IV:1993, nr 177 (921), poniedziałek 2 sierpnia 1993, s. 10; *Wśród swoich... na Sądeckczyźnie*, „Czas” Krakowski, R.IV:1993, nr 187 (931), piątek 13 sierpnia 1993, s. 11; *Nowy Sącz to po prostu mniejszy Kraków – Nasi rozmówcy: Alicja i Andrzej Łukowie, artyści z Zurychu*, „Gazeta KRAKOWSKA”, R.XLV:1993, nr 189 (13801), wtorek, 17 sierpnia 1993, [Expres Nowosądecki], bez stronic; *Koncert* [w bazylice św. Małgorzaty w Nowym Sączu w wykonaniu Alicji i Andrzeja Łuków], „Gazeta KRAKOWSKA – Expres Nowosądecki”, R.XLV:1993, nr 169 (13781), sobota, niedziela 24, 25 lipca 1993 (bez stronic).

# Szkoły średnie w powiecie limanowskim

Na bazie tajnego nauczania z inicjatywy nauczycieli, miejscowego społeczeństwa i Opactwa OO. Cystersów powstała w Szczyrzycu średnia szkoła Ogólnokształcąca.

To ks. Benedyktowi Birosowi – opatowi OO. Cystersów delegat Ministerstwa Oświaty udzielił w Krakowie w dniu 11 lutego 1945 r. słownego zezwolenia na otwarcie w opactwie szczyrzyckim prywatnego gimnazjum koedukacyjnego o kierunku humanistycznym.

Przystąpiono na wstępie do organizacji dwóch pierwszych klas.

W wyniku przeprowadzonych egzaminów przyjęto do klasy I – 105 uczniów, do klasy II – 46 uczniów.

28 lutego 1945 r. odbyło się uroczyste nabożeństwo dla uczniów, a 1 marca rozpoczęła się normalna nauka.

Uczniowie pochodzili z różnych ośrodków tajnego nauczania (najwięcej ze Szczyrzycy). Zajęcia odbywały się początkowo w budynku szkoły podstawowej. Czynsz dzierżawny za okres od 1 września 1945 r. do 31 sierpnia 1947 r. wynosił 80 tys. złotych i miał być przeznaczony na remont budynku i jego wykończenie.

Równocześnie ks. opat B. Biros odstąpił na potrzeby gimnazjum część pomieszczeń klasztornych, do których miała się przenieść młodzież po wygaśnięciu umowy ze szkołą podstawową.

Ks. opat z własnej inicjatywy zabiegał o wyposażenie szkoły średniej w niezbędny sprzęt, pomoce dydaktyczne i kadrę nauczycielską, bo zgłaszało się coraz więcej kandydatów na uczniów.

15 marca 1945 r. Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego przysłało oficjalne zezwolenie na prowadzenie gimnazjum. Nauczanie w wyżej wymienionym gimnazjum, a potem liceum miało być prowadzone według systemu przedwojennego.

Ponieważ w czasie egzaminów wstępnych wyszły na jaw spore braki w wiedzy uczniów, zapadła decyzja zwiększenia wymiaru godzin z j. polskiego, matematyki, biologii i historii, by wszyscy mieli równy start.

Z funduszków opactwa zakupiono w krakowskich antykwariatach i od osób prywatnych podręczniki, które można było wypożyczać na czas nauki,

a po wykorzystaniu wracały do biblioteki. Były bowiem przeznaczone do wielokrotnego użytku.

Po otrzymaniu zezwolenia z Ministerstwa Oświaty, Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego pismem z dnia 2 lipca 1945 r. nadało szkole nazwę – Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum Opactwa OO. Cystersów w Szczyrzycu. Było to 4 – letnie gimnazjum i 2 – letnie liceum.

Bardzo często odwiedzali szkołę wizytatorzy z Kuratorium, badali wyniki nauczania i wychowania i wydawali pozytywne opinie tak o uczniach jak i nauczycielach. Byli zadowoleni z wyników nauczania, doceniali też zajęcia nadobowiązkowe prowadzone społecznie przez grono nauczycielskie. Wspaniale pracowało harcerstwo i koła zainteresowań – historyczne, miłośników przyrody, nauka gry na pianinie i orkiestra występująca nie tylko na szkolnych imprezach, lecz na różnych uroczystościach w okolicznych wioskach.

Tak pozytywne wyniki upoważniały Dyрекcję do występowania z prośbą o upaństwowienie zakładu, bo utrzymanie szkoły kosztowało wiele. Czesne wpływało z ogromnym opóźnieniem, a dochody Opactwa kurczyły się gwałtownie, bo odebrano mu prawa do prowadzenia dawnej gospodarki.

Dawał się też odczuć nieprzyjazny klimat ze strony władz komunistycznych.

W 1948 r. nastąpiła reorganizacja szkolnictwa w Polsce. Gimnazjum liceum otrzymało nazwę: Prywatna Koedukacyjna Czteroletnia Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego Opactwa OO. Cystersów w Szczyrzycu pow. Limanowa.

Równocześnie nastąpiły naciski na upaństwowienie szkoły, ale pod warunkiem odsunięcia jej od wpływów Opactwa. Ponieważ warunku nie spełniono, Opactwo w każdym roku musiało występować o zgodę na dalsze prowadzenie szkoły.

Otrzymywano ją z trudem, poza tym przyszły dalsze ograniczenia. Ilość równoległych oddziałów nie mogła przekroczyć DWÓCH, choć zgłaszało się o wiele więcej kandydatów.

Wreszcie przyszedł ten nieodwołalny

moment. Mimo potrzeb środowiska, 95% dzieci pochodzących z biednych chłopskich rodzin, pod naciskiem władz politycznych Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie zlikwidowało dobrze prosperującą szkołę. Nie pomogły prośby rodziców i pisma kierowane do Prezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza.

Dzień 1 sierpnia 1955 r. po 10 latach istnienia był ostatnim w historii średniej szkoły ogólnokształcącej w Szczyrzycu.

Zmarnowano ludzki wysiłek, utrudniono młodzieży drogę do nauki, zamknięto jeszcze jeden rozdział w historii szkolnictwa powiatu limanowskiego.

W 1994 r. odbył się zjazd koleżeńcki wszystkich uczniów, którzy pobierali naukę w tajnych kompletach, a potem w liceum prowadzonym przez 10 lat przez Opactwo OO. Cystersów w Szczyrzycu. Wiele osób już odeszło na zawsze. Przyjechała duża grupa z różnych stron Polski, a nawet świata.

Były łzy wzruszenia i moc dobrych wspomnień o czasach młodości i ludziach, którzy wiejskim dzieciom umożliwili naukę w szkole średniej „na miejscu”. Spotkanie trwało 2 dni. Odwiedzili najważniejsze miejsca swej młodości. Mocniejsi i podniesieni na duchu wracali absolwenci „tamtych lat” do swoich domów.

Na kolejny etap szkolnictwa średniego w Szczyrzycu trzeba było czekać wiele lat.

Tylko jedna szkoła średnia ogólnokształcąca otwarta w pamiętnym 1945 r. – I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana w Limanowej przetrwała okres „burzy i naporu”, dobrze prosperuje, wnosi trwały wkład do historii szkolnictwa i wkrótce będzie obchodzić 75 – lecie istnienia.

PS

Za pomoc w zdobyciu materiałów dotyczących powojennego ogólnokształcącego szkolnictwa średniego w powiecie limanowskim serdecznie dziękuję: P. Stanisławowi Ociepcie – Redaktorowi „Echa Limanowskiego”, Przewielebnemu Ks. Prałatowi Janowi Bukowcowi, P. Andrzejowi Śliwie.

Fotografie z publikacji:

„Zmiana wieś w dobrach Klarysek

Starosądeckich. Historia i teraźniejszość”,  
oprac. Małgorzata Sromek, Ujanowice 1999.

„Piękna jest Szczyrzycka Ziemia”, Nowy Sącz 2012

# Zbrodnie Heinricha Hamanna

W 1993 r. w celi jednego z więzień w Republice Federalnej Niemiec, tuż przed śmiercią, 85-letni mężczyzna udzielił wywiadu niemieckiemu publicyście Michaelowi Foedrowitz. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie przeszłość rozmówcy. Udzielającym wywiadu był Heinrich Hamann, były szef sądeckiego Gestapo w latach 1939-1943 r. Historie związane z terrorem niemieckiej Tajnej Policji Państwowej<sup>1</sup> na Sądecczyźnie na długo po wojnie stały się przedmiotem badań nad martyrologią ofiar oraz staraniem o upamiętnienie każdego miejsca związanego ze zbrodniami.

Heinrich Hamann urodził się w 1 września 1908 r. w Bordsesholm. Choć tradycje rodzinne mogły związać jego życie z handlem, to po ukończeniu szkół, w wieku 21 lat wstąpił do NSDAP. W 1933 r. po przejęciu władzy przez Hitlera, Hamann został włączony do Sicherheitsdienst<sup>2</sup>. Przed wojną zdążył odbyć pracę w adiutanturze wysoko postawionego funkcjonariusza, szefa RSHA, Reinharda Heydricha. Zdążył pracować w Centrali Gestapo w Berlinie. Po agresji III Rzeszy na Polskę, w drugiej połowie września 1939 r. krótko zarządzał placówką Gestapo w Cieszynie. 19 listopada 1939 r. został mianowany szefem Zamiejscowej Placówki Policji Bezpieczeństwa – Granicznego Komisariatu Policji (Ausendienststelle der Sicherheitspolizei – Grenzpolizeikommissariat Neu Sandez), a ogólniej rzecz biorąc, Hamann został szefem Gestapo na Sądecczyżnę i Ziemię Limanowską.



Mjr Antoni Gryzina-Lasek. Fot. ze zbiorów Sławomira Gryziny-Laska.

## Początki terroru

Szef sądeckiego Gestapo odpowiadał za rozbudowanie sieci konfidentów. Prowadził terror wśród ludności poprzez ciągłe rewizje, łapanki, wywozy do obozów pracy i zagłady. Bestialsko prowadzone przez niego osobiście przesłuchania i tortury sprawiły, że Hamanna na stałe zapamiętano. Jednymi ze zbrodni były m.in.

27 VI 1940 r. lasy w Trzetrzewinie – rozstrzelanie 93 osób w ramach akcji AB<sup>3</sup>, było odpowiedzią na przemówienie



Heinrich Hamann - szef sądeckiego Gestapo w latach 1939-1943. Fot. Wikipedia

gen. Władysława Sikorskiego do narodu polskiego w radiu francuskim dwa dni wcześniej.

21 VIII i 27 IX 1941 r. – Biegonice – rozstrzelanie 98 osób, odwet za zastrzelenie komendanta policji granatowej<sup>4</sup> w Chełmcu.

VIII 1942 r. – Wysłanie ok. 15 tysięcy Żydów z Sądecczyzny do obozów zagłady.

W tym samym roku miały miejsce cykliczne masowe egzekucje w getcie w Nowym Sączu. Zagłada Żydów w Mszanie Dolnej (882 osoby zgładzone

jednego dnia). Eksterminacja ludności żydowskiej z Limanowej i okolic. Po kilku próbach przeprowadzenia zamachu na Hamanna, przeważała jednak myśl, że w odwecie ludność cywilna może ponieść dużo większe konsekwencje<sup>5</sup>.

W sierpniu 1943 r. Hamann został przeniesiony do Jasła, a oficjalnie od grudnia 1943 r. awansowany na kierownika Wydziału IV-A w Krakowskiej Komendzie Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. Zajmował się m.in. zwalczaniem zorganizowanego polskiego podziemia niepodległościowego. W zawierusze wojennej, szczęście Hamanna nie opuszczało.

## Skok przez front

W styczniu 1945 r. został przeniesiony na teren Protektoratu Czech i Moraw. W maju udało mu się pod fałszywym nazwiskiem przedostać przez linię wojsk amerykańskich na teren Niemiec do strefy okupowanej przez Amerykanów. W powojennej rzeczywistości z obawy przed aresztowaniem, przyjął nazwisko Hossfeld. Przy odbudowie kraju nie brakowało pracy, toteż miał się różnych zajęć, jako robotnik rolny i drwal oraz kelner. Kiedy po kilkunastu latach od zakończenia wojny wydawało się, że całą przeszłość pozostawił za sobą, okazało się, jak los potrafi być przewrotny. 5 maja 1960 r. restauracja w Bochum. Przy jednym ze stolików dochodzi do sprzeczki między niezadowolonym klientem i kelnerem. W przypływie emocji, ten ostatni wyciągnął... broń, oddając śmiertelny strzał. Policja potrzebowała kilku dni po aresztowaniu, by ustalić, że kelner Hossfeld, to nikt inny jak poszukiwany od dawna Heinrich Hamann, odpowiedzialny za szereg zbrodni na ludności polskiej i żydowskiej. Proces odbył się w Bochum. W wyniku śledztwa udało się aresztować kilkunastu współpracowników Hamanna z czasów jego okupacyjnej działalności. Przesłuchano około 200 świadków, przybyłych m.in. z Australii czy Izraela. Być może wśród czytających ten tekst są tacy, którzy pamiętają, że w połowie lat sześćdziesiątych na Sądecczyżnę przyjeżdżali prokuratorzy niemieccy i polscy. Przeprowadzano wizje lokalne w miejscach bestialskich

► masowych zbrodni. Przewód sądowy zakończył się 20 lipca 1966 r. Powojenny sąd RFN zniósł karę śmierci, tylko dlatego Heinrich Hamann otrzymał najsurowszy możliwy wyrok – dożywocie. Jego współpracownicy otrzymali kary od kilku do kilkunastu lat. Oprócz Hamanna, na dożywocie został skazany komendant posterunku żandarmerii w Limanowej – Bruno Baunack. W czasie procesu Hamannowi udowodniono 77 zbrodni, zabójstw, wykonanych osobiście. W czasie sprawowania władzy, w obozach pracy i zagłady, w masowych egzekucjach, łapaniach i rewizjach zginęło około kilkanaście tysięcy osób. W latach siedemdziesiątych weszła w życie ustawa o przedawnieniu zbrodni wojennych, ustalając koniec karalności po upływie 30 lat od powstania RFN – czyli od grudnia 1979 r.

W wywiadzie udzielonym Michaelowi Foedrowitz w 1993 r. przez Hamanna pojawiło się kilka wątków związanych z Limanową i działalnością polskiego podziemia, m.in. jeden z nich: (...) *W Limanowej była rafineria, z której na front środkowy, wychodziło kilkadziesiąt pociągów, był to więc ważny zakład. Wykrywamy, że pewien chemik lub asystent, Polak na stanowisku, utworzył wewnątrz zakładów grupy oporu*<sup>6</sup>. *Te grupy najczęściej liczyły 3-5 osób. Tylko szef grupy znał wszystkich. Zostaje więc ujęty ten człowiek, a nie mieliśmy grupy działającej w tych ważnych zakładach. W moim procesie poruszano ten przypadek. Powiedział tam pewien żandarm, jakoby człowiek ów miał być niewiarygodnie pobity, ale Hamanna przy tym nie było. Wtedy wstałem i powiedziałem: Hamann przy tym był i nawet to zarządził (...)*<sup>7</sup>. Na pytanie, jak scharakteryzowałby Polaka walczącego z okupantem, jakie były jego mocne strony? Odpowiedział: (...) *Urodzony konspirator, ma to formalnie we krwi, a przede wszystkim godzien jest uwagi ze względu na swą miłość ojczyzny, całkiem odmiennie niż Niemcy. Gdy Polak słyszał, że inny Polak był prześladowany lub mogłoby mu grozić jakiegokolwiek nieszczęście, kłamałby długo na przesłuchaniach, jakkolwiek on sam nic by z tego miał. Tylko po to, by chronić człowieka, bo jest on Polakiem. Przeżyli oni wiele pod obcym panowaniem i wykształciło się to, że byli zmuszani do oporu w walce (...)*<sup>8</sup>.

## Historia „Doktora Świdra”

W czasie przeprowadzonego wywiadu z Hamannem z 1993 r., w swojej opowieści, były szef sądeckiego Gestapo przywołał w pamięci postać mjr. Antoniego Gryziny-Laska oraz jego losy. Początek działalności Hamanna przypadł na czas, w którym na terenie Podhala, Beskidów i Gorców występowało kilkanaście różnych nurtów konspiracyjnych, skierowanych przeciw niemieckiemu okupantowi. Zaangażowanie praktycznie co drugiej rodziny w danej wsi czy miasteczku stwarzało zagrożenie dekonspiracji przed Niemcami. Struktury organizacyjne aparatu terroru, powstanie sieci konfidentów, współpracowników Gestapo oraz Policji Kryminalnej doprowadzały do licznych aresztowań.

Jedną z takich historii, która szczególnie wywarła wrażenie na Heinrichu Hamannie, była historia „Doktora Świdra”. Na początku 1940 r. na południowym obszarze Generalnego Gubernatorstwa, mjr Julian Znamierowski<sup>9</sup> „Profesor Witold” utworzył Związek Czynu Zbrojnego. Organizacja miała zajmować się prowadzeniem walki z okupantem w oparciu o rozszerzające się struktury oficerów i żołnierzy wojska polskiego. Na obszarze południowym utworzono Podokręg Górski

z siedzibą w Nowym Sączu. Organizacją dowodził mjr Antoni Gryzina-Lasek<sup>10</sup> „Doktor Świdra”. Lokalami konspiracyjnymi na terenie Ziemi Limanowskiej był dom Lasków w Dobrej oraz gajówki i leśniczówki położone w rejonie Mogielicy, w majątku Zofii Turskiej z Tymbarku. Organizacja została rozbita ze względu na wpadkę jednego ze współpracowników Gryziny-Laska. Edmund Hoppe – tłumacz sądeckiego Gestapo został zdekonspirowany przez oficerów tajnej policji niemieckiej. Masowe aresztowania rozpoczęły się z początkiem stycznia 1941 r. Zatrzymana została mieszkająca w Nowym Sączu rodzina Gryziny-Laska oraz jego współpracownicy – bracia Osuchowscy. „Doktor Świdra” został aresztowany w Dobrej, w czasie spotkania z łącznikiem ZCZ z Warszawy. Ostatecznie Gestapo doprowadziło do rozbicia powstającej siatki konspiracji. Dowódca Podokręgu Górskiego mjr Gryzina-Lasek, obawiał się, że w trakcie nieludzkich tortur może wydać nazwiska swoich współpracowników. W nocy z 18 na 19 stycznia 1941 r., „Doktor Świdra” popełnił samobójstwo. Według relacji umieszczonych w protokołach z procesu: (...) *Zatrzymany, który był przywódcą organizacji w Nowym Sączu, popełnił w więzieniu samobójstwo podcinając sobie tętnicę i napisał własną krwią na ścianie celi słowa: Niech żyje Polska! (...)*<sup>11</sup>

Po wojnie wielu z funkcjonariuszy niemieckich, odpowiedzialnych za zbrodnie na polskiej ludności m.in. w Mszanie Dolnej, Limanowej, Nowym i Starym Sączu, nie poniosło konsekwencji za swoje czyny. Wielu z nich nie udało się odnaleźć i osądzić, jak choćby burmistrza Mszany Dolnej – Władysława Gelba. Po 1945 r. dochodziło do tego, że władze komunistyczne aresztując żołnierzy Armii Krajowej przetrzymywały ich w aresztach z niemieckimi konfidentami oraz kolaborantami, stawiając znak równości między jednymi i drugimi. Dopiero po 1989 r. rozpoczął się stopniowy proces przywracania pamięci o żołnierzach pierwszej konspiracji oraz żołnierzach podziemia antykomunistycznego. Ofiary niemieckich nazistowskich zbrodni zostały upamiętnione obeliskami, krzyżami, symbolicznymi mogiłami m.in. w miejscach masowych egzekucji w Rdziostowie, Trzetrzewinie, Biegonicach i Mszanie Dolnej.

<sup>1</sup> Geheime Staatspolizei w skrócie Gestapo, Tajna Policja Państwowa utworzona w 1933 r. na terenie III Rzeszy. Na obszarze okupowanej Polski zajmował się zwalczaniem m.in. struktur konspiracji w tym polskiego państwa podziemnego.

<sup>2</sup> Służba Bezpieczeństwa.

<sup>3</sup> Ausserordentliche Befriedungsaktion – AB, Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna. Prowadzone od początku 1940r. były skierowane przeciwko przedstawicielom polskiej inteligencji.

<sup>4</sup> Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa.

<sup>5</sup> Opis wybranych akcji organizowanych przez sądeckie Gestapo na podstawie art. J. Bieńka: *Heinrich Hamann – w cieniu swastyki*. [w:] *Rocznik Sądecki*, tom XXII.

<sup>6</sup> Zapewne chodziło o komórkę konspiracyjną utworzoną na terenie rafinerii przez przedwojennego chorążego wojska polskiego, Teodora Jankowiaka.

<sup>7</sup> Stanisław Dąbrowa-Kostka, *Hamann i Foedrowitz*, *Zeszyty historyczne*, Kraków 1996, nr 1. s. 67

<sup>8</sup> Tamże, s. 78

<sup>9</sup> Artysta-malarz, pochodził ze Starego Sącza. Służył w Legionach Polskich w czasie I wojny światowej. Brał czynny udział w walkach z Niemcami we wrześniu 1939 r. Był jednym z twórców i założycieli konspiracyjnej organizacji Związku Czynu Zbrojnego.

<sup>10</sup> Przed 1939 r. inicjator eksploatacji źródeł mineralnych w Szczawie, z zawodu chemik, działacz-społecznik.

<sup>11</sup> D. Golik, „Jacek” – syn „Doktora Świdra” [w:] *Podhalańczycy z AK – ostatni żołnierze*, <http://skansen-studzionki.pl/>, maj 2013 r.

**DOBRE, BO LIMANOWSKIE!**

WARZENIE PIWA  
TRAKTUJEMY  
JAKO WIELKĄ  
**SZTUKĘ**



**BROWARS SP. Z O.O.**  
**UL. ŻWIRKI I WIGURY 20**  
**34-600 LIMANOWA**  
**WWW.BROWARS.PL**

**BROWARS**

**BROWAR RZEMIEŚLNICZY**

CENTRUM TECHNICZNO - OGRODNICZE

**OGRODNIK**

tel. 18 337 25 47

**NIE CZEKAJ DO WIOSNY  
PRZYGOTUJ SPRZĘT  
JUŻ DZIŚ**

BRIGGS & STRATTON

www.ogrodnik.limanowa.pl

PROFESJONALNIE I KOMPLEKSOWO  
REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA  
FINANSOWANE Z DOTACJI UP I UE  
STARASZ SIĘ, LUB UZYSKAŁEŚ DOTACJĘ  
ZAPYTAJ O OFERTĘ

**Oleo-Mac**

**Limanowa, ul. Krótka 12**  
**SKLEP - SERWIS**

ARTYKUŁY PSZCZELARSKIE, DONICZKI CERAMICZNE, SIATKI, FOLIE, NASIONA, NAWOZY, ŚRODKI OCHRONY ROŚLIN, NARZĘDZIA OGRODOWE, KOSY, KOSIARKI, PILARKI SPALINOWE I ELEKTRYCZNE, OPRYSKIWACZE, WĘŻE OGRODOWE.



# 140 lat

# BANKU SPÓŁDZIELCZEGO W LIMANOWEJ



## 140 LAT SŁUŻBY SPOŁECZEŃSTWU

Bank Spółdzielczy w Limanowej - od 140 lat blisko ludzi!

Fundamentalne wartości - stabilne rozwiązania:

- polski kapitał
- społeczna odpowiedzialność
- dbałość o środowisko
- zaangażowanie społeczne
- reinwestowanie na poziomie lokalnym

Fotografia z okresu międzywojennego przedstawiająca widok limanowskiego rynku w kierunku wschodnim. W budynku znajdującym się w środku zabudowań, w czasie okupacji i po II Wojnie Światowej mieściła się siedziba Banku Spółdzielczego w Limanowej. Zdjęcie pochodzi z archiwum Leopolda Kucharczyka.

[www.bs.limanowa.pl](http://www.bs.limanowa.pl)

# ZADBAJ O SWÓJ OGRÓD

Oferujemy szeroki asortyment, m.in.

- nasiona
- podłoża do kwiatów i iglaków,
- nawozy i środki ochrony roślin
- doniczki
- narzędzia ogrodowe
- grille
- meble ogrodowe

**Zapraszamy!**

## Czwartkowe grillowanie z IMPULSEM !!!

miejsce:  
**PROFI IMPULS**

**Zapraszamy  
w każdy czwartek  
od 9:00**

Co tydzień spotkanie z innym producentem z branży budowlanej  
Oferujemy fachową poradę i informację o nowościach technicznych.



Impuls Contractor Sp. z o.o. Sp. k.

34-600 Limanowa  
ul. Piłsudskiego 14c

tel. 18 33 74 127  
fax 18 33 75 332

[www.impuls-psb.pl](http://www.impuls-psb.pl)